

SIEDM LISTÓW

o

LEGIONIE POLSKIM

WE WŁOSZECH

przez

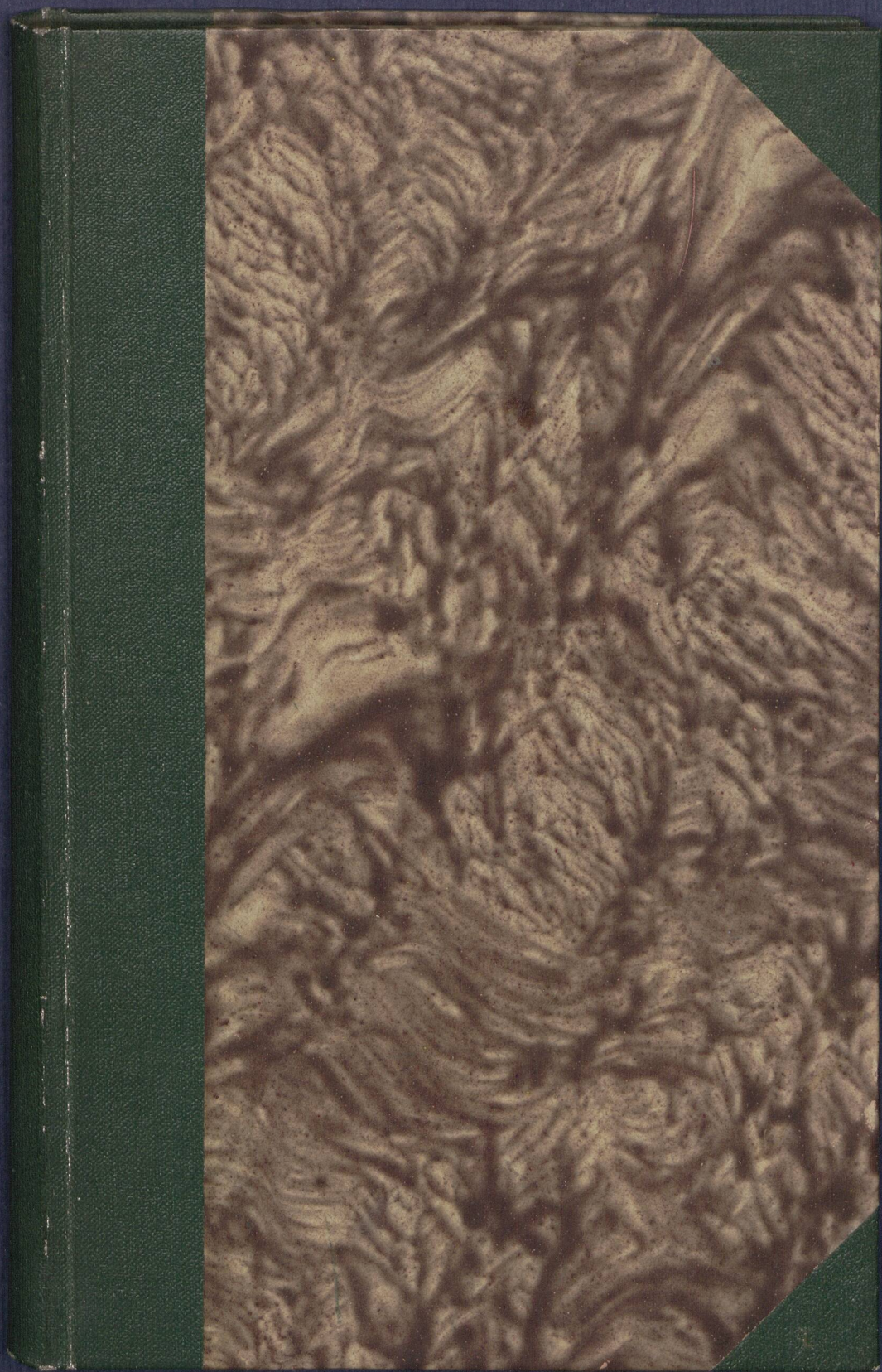
M † † †

POZNAN.

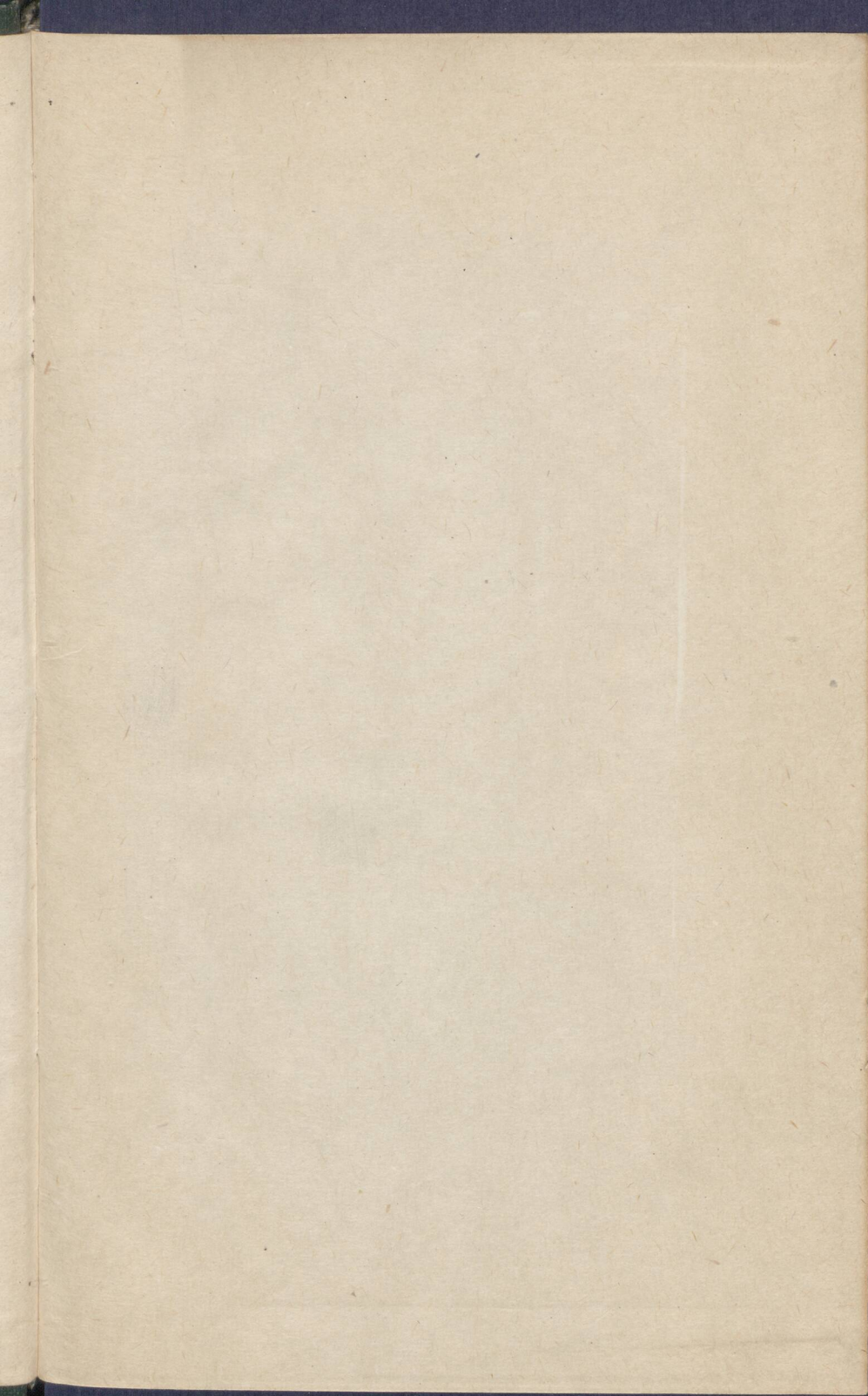
Nakładem i drukiem N. Kamińskiego i Spółki.

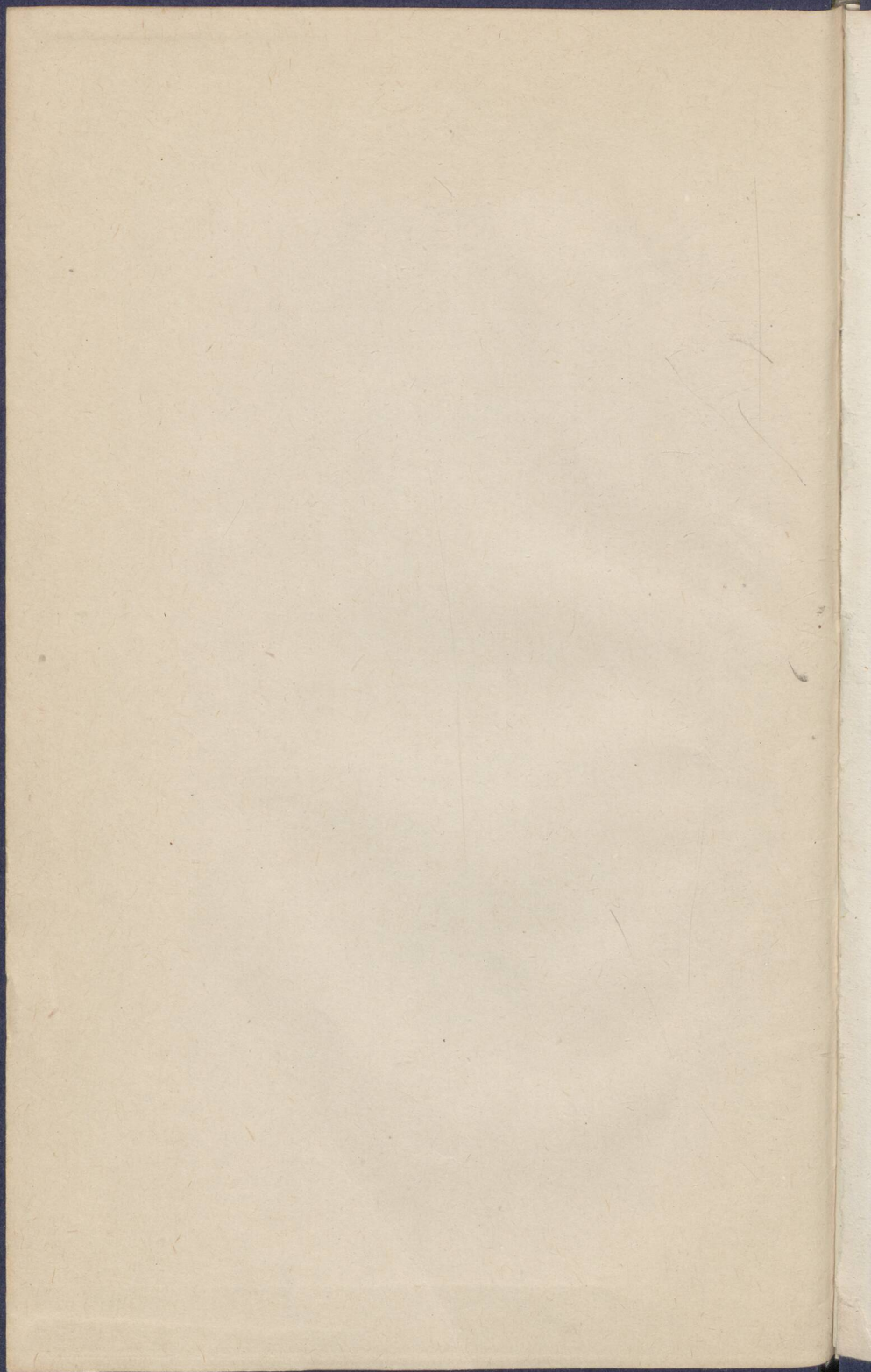
—
1850.

228.0.0281





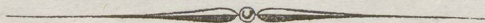




SIEDM LISTÓW
o
LEGIONIE POLSKIM
WE WŁOSZECH

przez

M + + +



POZNAN.

Nakładem i drukiem N. Kamińskiego i Spółki.

—
1850.

828.10.0291

WOTSI HETIS

WOTSI HETIS

WOTSI HETIS

133905.1



133905.1

133905.1

133905.1

1950.Da.966

L I S T I.

Medyolan, dnia 28. kwietnia 1848.

Nagły i niespodziany wyjazd mój z Paryża, podróż do Rzymu przez Marsylią, bez wytchnienia; i nakoniec w samym Rzymie codzienne zabiegi o sprawę naszą, nie dały mi godziny swobodnej dla napisania do ciebie droga pani.

Pospieszam dziś dopełnić miłego obowiązku tém chętniej, że wiadomości te rozjaśniają posępne czoła wasze; bo już nie nadzieją samą, nie jękiem i modlitwą dzielić się z wami pragniemy, jak to było niedawno jeszcze, i przez lat tyle; ale czynem żywym, czynem godnym najlepszych wspomnień ojczystych, czynem na drodze dla lepszego jutra.

Mickiewicz, jak ci wiadomo, wyjechał z Paryża na dwa miesiące przed lutowem powstaniem, jechał do Rzymu dla widzenia się z papieżem, dla przypomnienia

mu w pokorze synowskić zasług narodu męczenników, jechał w sprawie pokrzywdzonć ojczyzny, w sprawie znieważonć wiary pradziadów, z którćj Rzym i jego podwładny kościół urzędowy nie zatrzymał nic z tradycyi tylu poświęceń, nie zostało nic, oprócz formy.

Mickiewicz przy pożegnaniu przyjaciół swoich w Paryżu zapowiedział im bliskie wypadki; kres ostatecznych bezprawiów pod berłem Ludwika Filipa, koniec emigracyi dawnćj.

W Rzymie, jak zawsze wielu było Polaków, wiele Polek, przybycie Mickiewicza zajęło mocno wszystkich, ale nie wszystkich jednako; młodzieź polska otoczyła go natychmiast z całćm zaufaniem, idąc za głosem czystego serca, które już mówiło o posłannictwie Wieszcza narodu. Księża polscy z zakonu zmartwychwstańców pomni prawd głoszonych w kolegium francuzkie m, poglądali na niego z niedowierzaniem, panowie i panie polskie, jak zawsze, chcieli wszystko wiedzieć, wszystko chwalić lub ganić bez serdecznego udziału w niczem.

Mickiewicz nie zakrywał powodów swojego przybycia, mówił otwarcie, że chce się widzieć z papieżem, że przed innemi drogami dla przystąpienia do nóg Piusa IX. wybiera najprostszą i najwłaściwszą drogę; przez księży zakonu Zmartwychwstania, którćch, jako emigrantów rzecz narodu najbliźćj obchodzić powinna. Ksiądz Aleksander Jełowiecki napomykał o trudnościach widzenia się z ojcem świętym przed wyjaśnieniem niektórch wątpliwości, co do sposobu zapatrywania się na główne dogmata wiary. Mickiewicz wiedział dobrze, że już oskarżenie na niego (przez tychże księży) było papieżowi wręcone; i dla tego prosił księdza Aleksandra Jełowieckiego, aby on sam go słuchał spowiedzi.

Spowiedź i absolucya nierozbroiły nienawiści — za-
skarżenia nieodwołano — chwilowe zbliżenie się księży
było nieszczerze. Dla widzenia się z papieżem Mickie-
wicz musiał użyć nowych stosunków.

Co można było wyblagać u Piusa IX., postępowa-
nie jego późniejsze pokazało. Jakkolwiek nie nieodrzu-
cił, nie nie postąpił stanowczo, błogosławił na dro-
dze katolickiej pracy Polaków o niepodległość ojczyzny.
O strasznych prześladowaniach w Polsce, dopiero od sio-
stry Makryny dowiedział się; przyrzekł modlić się
za Polskę.

Zwycięstwo strony narodowej w Szwajcaryi nad
Sonderbundem wyprowadziło na scenę polityczną da-
wnych przyjaciół Mickiewicza, pisał do prezesa Genewy
Fazego, aby nierozsyłano wojska do domów, aby z pod
Friburga zwyciężkie wojska szły przez Tessin do Luga-
no, do Como, do Medyolanu. W kilka dni potem we-
zwaniu, Medyolanu obywatele bezbronni powstali i 18,000
Austriaków z Radeckim wyrzuciwszy za mury miasta,
dali hasło do powszechnego w Italii ruchu; to przecież
niepopechnęło Szwajcarów zaślepionych swem szczęściem
naprzód; napomnienia Mickiewicza przyjęto jako głos
przyjaciela, ale tak bliskiej styczności pomiędzy losem
Włoch zaledwo dźwigających się z tyloletniego uspie-
nia i losem wolnej i zwyciężkiej Helwecyi nie widziano,
przyrzeczono przecież Lombardo — Wenetom pomoc
w broni, i ułatwienie przejścia przez Alpy ochotnikom.

Powstanie cudowne Medyolanu zatrwożyło stron-
nictwo wsteczne w Rzymie, Polacy zaczęli się groma-
dzić tłumnie około Mickiewicza, którego widzenia co
dzień nabierały nowej wagi. Młodzież upoważniona do

tego kroku przyniosła chorągiew polską, odlano orla srebrnego.

Niepodobna opisać ci, droga pani, zapалу, który nas ogarniał starszych i młodszych! Noc z 7. — 8. stycznia 1848., którą przepędziliśmy w mieszkaniu Mickiewicza, zostanie na zawsze obecną duszy naszej; były to godziny szczęścia istotnego, jedyne od lat tylu. Pochód do Medyolanu choćby w najmniejszej liczbie, był postanowiony. Stary napoleoński żołnierz Siodółkiewicz i 12 młodych artystów, bawiących dla nauki w Rzymie zapisali się najpierw.

Przecież w duchu wielu Polaków, bawiących w Rzymie, jakkolwiek radzi odwiedzali Mickiewicza, nie było wiary w ruchy i zwycięstwa ludów. Mówiono głośno, że Mickiewicz nie dojdzie do Medyolanu przed Austryakami, że niepotrzebnie naraża siebie i młodzież, radzono czekać!...

Aż tu wieść o rewolucyi wpada, jak posłannik niebios, przychodzi, aby podnieść i ośmielić czyny rozpoczęte prawych Polaków, aby zatrwożyć i upokorzyć rachuby rozumnych i przyzwoitych. Niewstydzono się publicznie żałować Filipa.

Zgromadzenia u Mickiewicza były coraz liczniejsze, nieszczędzono mu pochwał, przyznawano mu wyższość. Zaczęto nawet powszechnie wierzyć w legiony, chociaż byli i tacy, którzy uważali krok ten za zbyt czyny, za niepotrzebny; wierzyli, że emigracya powróci z Francyi do kraju deliżansami; że powróci do urzędów dawnych, do zagrabionych włości, że sejm 1830. roku zgromadzony w Paryżu ogłosi niepodległość narodu, i sam pospiesz na ziemię ojczystą. Spór jedynie szedł

o to, czy w Krakowie, czy w Warszawie ma zasiąść poważne grono. Okropne to oblężanie napelniało nas rozpaczą; widzieliśmy w rymach i mowach tych synów zatracenia cały szereg bied naszych domowych, trudniejszych stokroć do zwalczenia, aniżeli potęgi wszystkich razem wrogów. Czuliśmy to, że poświęcenia się naszego, że krwi naszej na okup ich nie wystarczy.

Tymczasem zbliżał się dzień dla Rzymu uroczysty, dzień przeniesienia tryumfalnie relikwiarza z głową świętego Wojciecha, apostoła sławiańskiego *) do Watykanu. — Dzień ten był najwłaściwszy dla poświęcenia chorągwi naszej. Wyszliśmy z mieszkania Mickiewicza (7. kwietnia 1848.) o godzinie 10. rano. Edward Geritz niósł chorągiew legii. Mickiewicz otoczony kilkudziesięciu Polakami postępował za nią. Ulice były napelnione ludem, z okien powiewały chorągwie i bogate kobierce. Chorągwie wszystkich cechów, w gronie całego urzędu w bogatych szatach ciągnęły ku Watykanowi i stawaly na placu. Drzwi wielkie były zamknięte, niedługo przybył Cicerovechio na czele kilku tysięcy ludzi, postrzegłszy chorągiew naszą, zdjął kapelusz i szedł ku nam, znał on dobrze Mickiewicza; dowiedziawszy się o wszystkim,

*) Głowa świętego Wojciecha męczennika i apostoła w bogatym relikwiarzu złożoną była w jednej z kaplic podziemnych Watykanu, zkad przed kilkunastu laty była wyniesioną. Kradzież tę świętokradzką przypisywał lud rzymski, a szczególnież zatybrowce ambasadzie moskiewskiej. Poszukiwania były daremne; kiedy mnich jakiś pobożny przez sen był uwiadomiony o miejscu, gdzie się znajduje relikwiarz. Przeniesiony tymczasowicie do jednego z kościołów rzymskich, wrócił tryumfalnie na dawne miejsce.

postawił nas na czele formującej się kolumny ludu i kazał podwoje brązowe świątyni otworzyć.

Zagrzmiały działa na twierdzy ś. Anioła. Weszliśmy do świątyni najpierwsi. Postępując zwolna wśród tysięcy zgromadzonego ludu, który się rozszedł na dwoje, stanęliśmy przed wielkim ołtarzem.

Rozpoczęła się msza celebrowana przez jakiegoś kardynała z całym majestatem obrzędu, Pius IX. klęczał w trybunie i modlił się gorliwie. Ukłękliśmy wszyscy, jakiś jęk dobył się z piersi wszystkich przytomnych Polaków, jęk za Polskę, jęk do Boga, ostatni może jęk Polaków do powagi kościoła o zgwałcone najświętsze prawa narodu, o ojczyznę. Godzina tej mszy, tej modlitwy, miała w sobie coś tak uroczystego, tak świętego, że w ciężkich chwilach życia, kiedy bijąc się wśród ludzi zimnych, duszy sił zabraknie, można się odwołać do niej o ratunek. Uczucie takie, modlitwa taka, napełniała chwile przedbojowe dziadów Lehickich, kiedy już orły ich zwyciężkie miały iść ku krwawej potrzebie. Pułk tem uczuciem przejęty, pokona każdą potęgę. Jest to chwila rozprawy Dawida z Filistynów olbrzymem.

Msza się skończyła, Pius IX. szedł ku wielkiemu ołtarzowi, przed nim jego znamiona, za nim książęta kościoła, okryci purpurą, a jakiś wyraz nieżyczliwy patrzył przez ich oczy.

Postąpiliśmy z chorągwią jeszcze kilka kroków, pod stopnie ołtarza, przy którym stał papież obrócony twarzą do ludu i ze złożonemi rękami modlił się: po chwili podano mu relikwiarz ś. Wojciecha, ozwały się chóry głosów niezliczonych. Zdawało się, że sklepienia olbrzymiego gmachu wysuwały się z karbów swoich. Pa-

pieź błogosławił relikwiarzem chorągwie i lud. Jakiś głos się wyrwał z grona ludu: „*Oto jest chorągiew narodu męczenników.*“ Papież na ten głos odpowiedział nowem błogosławieństwem.

Odnieśliśmy chorągiew legii do mieszkania Mickiewicza, i resztę dnia każdy u siebie pozostał, ażeby nie pozbawiać roztargnieniem duszy, pełnej tak uroczystego wrażenia.

Nazajutrz dowiedzieliśmy się, że księża zmartwychwstańce, krzyczeli na gwałt uczyniony papieżowi, że echorągiew legii była poświęcona podstępem! Zostawiamy każdemu dobremu Polakowi rozwiązanie tego zagadnienia: Jaki interes prawdziwy narodowy mógł mieć ksiądz Aleksander Jełowiecki w rozszerzaniu podobnych powieści. Co na tem zyskiwała Polska i religia katolicka? Przecież tajemnicą nie było, jaki był cel legii zawierującej się. Ale mówmy prawdę do końca. Zakon Zmartwychwstańców, jest zmartwychwstaniem jezuitów, zakonu, który Austria pseudo katolicka sama tylko cierpi. Wszelka siła nowa przeciw Austrii, była siłą przeciw jezuitom, przeciw Zmartwychwstańców zakonowi; chcieli więc księża polscy nowego zakonu ojczyzny; ale bez krzywdy Austrii, protektorki jezuitów. Czuli to dobrze księża polscy, że legia pod znakami świętymi narodu wywoła, zapalowi Włochów znajomy pochód legionów Rzeczypospolitej Cisalpińskiej, że ducha Henryka Dąbrowskiego wywoła i dziś, w sprawie prawdziwie obchodzącej Włochy, — w sprawie ich przyszłości.

Pomimo te gawędy księża i damskie po salonach, co tylko było emigrantów, cisnęło się do Mickiewicza.

Władysław Zamojski oświadczył: że to jego był plan odwieczny formowania legii we Włoszech, że nawet jest gotów protegować legią, dając do zrozumienia, że jeżeli Mickiewicz potrafi przedrzeć się do Medyolanu, i hufiec narodowy utworzyć; on (Zamojski) nie będzie się wzdrygał, aby mu hetmanić.

Ksiądz Aleksander Jełowicki, jakkolwiek nierad chorągwi podchwytym święconej, radby widział brata na miejscu Mickiewicza, i nieopuścił żadnego ze środków znajomych na błędnych manowcach świata, aby mu zaufanie młodzieży zapisanej na liście legii zjednać; usiłowania spełzły na niczem.

Mickiewicz z chorągwią wyszedł z Rzymu 15. kwietnia. Dwunastu tylko dotrwało do końca. Nazwiska ich zamilczamy z wielu powodów, a szczególnie, że nie piszemy tego dla niczyjej chwały, jeno dla prawdy, dla wyjaśnienia dróg naszych na przyszłość.

Kto co miał pieniędzy gotowych, złożył do kasy ogólnej, dla powiększenia jój sprzedano co było kosztowniejszego, a nawet zegarki.

Gazety włoskie i francuzkie niektóre, opisywały pochód ten, odbyty wśród błogosławieństw i łez. We Florencyi zatrzymaliśmy się dni kilka dla umundurowania się. Jeden z obecnych tam Polaków zakupił uzbrojenie. Sam W. książę Toskanii pospieszył z nadesłaniem funduszków przez jednego z deputowanych i życzenia swoje przyjazne mężnym synom Polski oświadczył.

Dnia 25. kwietnia o 2. po południu przyszedł 1szy zawiązek legii do Medyolanu, cały lud z rządem tymczasowym i z gwardyą wyszedł na jego spotkanie. Mickiewicz pomimo strudzenia musiał mówić do ludu z krąż-

ganku pałacu rządowego, prezes rządu Casatti, stał obok niego z rozwiniętą chorągwią polską, lud szalał w uniesieniu.

Członkowie rządu, i pierwsi dygnitarze patryoci wrywali sobie legionistów. Musieliśmy stanąć w ich domach, oczekując organizacyi; oczekując na pospiech emigracyi, która niezawodnie pod chorągiew narodu pospieszy. Pomiędzy niewolnikami ujętymi na ulicach miasta w czasie rewolucyi, jest 800 Sławian, najwięcej Kroatów, ale są także Czechy i Polacy nawet; rachujemy na ich ochotę. Emigracya dostarczy nam potrzebnych oficerów, Bóg dokona reszty.

Natém dziś kończę, o dalszych losach naszych będzie droga pani uwiadomiona.

M † † †

główny pałac rządowy, przez króla Casimira, stał się
niedługo z rozwinął się w pałac, jak się stał w mi-
nie.

Widokowe króla i pierwszego dyktatora państwa
wyrzucił sobie królowie. Wzrost państwa w ich
domach, oczekując organizacyi; oczekując na postępie
organizacyi, która wymagała podchorążych, a nie pod-
spisów. Pomysłowy wynalazek, który stał się
mianem w czasie rozruchów, jest 200. Stawian, najwy-
bitniejsi, ale są także Czeszy i Polacy, nawet; co-
inni, na ich czele. Organizacya dostarcza nam pat-
rych oficerów, jak dotychczas.

Nadmieniam, że konarz, o których dotychczas nie
długo, choć pan nadoborem.

11111

L I S T II.

Z obozu pod San-Antonio, 18. lipca 1848.

W liście moim z Medyolanu masz droga pani rys ogólny usiłowań naszych przed wystąpieniem legii urzędowem w obec Europy, przed jej organizacją i uzbrojeniem. Pospieszam przestać nowe szczegóły, w których nieznajdzie piękna dusza pani zupełnego zadowolenienia, bo nieodpocznie na żadnym wielkim czynie dokonanym, jakich byś pragnęła wiele dla tak świętej sprawy i dla czci imienia polskiego.

Jeszcze się nie nigdzie niewiąże potężnego, coby kamień grobowy matki odwalić mogło. Z pośepnem czołem patrzymy w niebo, jakby zapytując u Boga, kiedy się ta pomsta zakończy! Pierś otworzona na razy nieprzyjaciół Polski, których pułki stoją przed nami. Ale dzisiaj i my mamy broń w rękach, znamiona nasze powiewają pod tym pięknem niebem, zatknięte na grobach

ojców, którzy tu przeszli przed nami. Lud ten dobry, a tak okropnie spodlony woła do Boga o niepodległość, o wolność, której sam czuje, że odzyskać niezdola. Ale nas tu zaledwie 200! Oni rachują nas na tysiące. Na drodze naszej miasta i wsie zbroiły się i powstały: *Polacy z nami, zwyciężyliśmy!* to odgłos powszechny.

Przecież tego uczucia własnej niesiły, téj konieczności zawezwania pomocy odwiecznych sprzymierzeńców wolności, rząd Medyolanu nie dzieli. Pomoc Francji odepchnięto prawie, obojętnie przyjęto odezwę rządu tymczasowego Francji z podpisem Lamartina, który jakkolwiek w duchu rewolucji przeciwny, bez zadania fałszu całemu swojemu życiu, wszystkim natchnieniom młodości swojej, poezji swojej, niemógł urzędownie nie powitać Italii, która tak bohatersko wystąpiła. Medyolan, miasto najwięcej może narodowe w całej Europie, gdzie pałace panów milionowych i wyrobników siedziłyby jednym jaśnieją uczuciem i jedną nadzieją, Medyolan losy swoje, losy Włoch całych złożył w ręce Karola Alberta; *on z całym wojskiem swoim wystąpił przeciwko Austrii, do sił tych przyłączą się Medyolaniecy, zwyciężczy 18,000 nieprzyjaciela pod Radetzkim, cały kraj Lombardzko-Wenecki powstanie i młodzież swoją uzbroi. Pius IX. na granicy Romanii 10,000 wojska swojego postawił, które na skinienie króla Sardynii pospieszy. Włochy nie potrzebują sił obcych dla dokończenia zwycięstwa!* W fanatyzmie najszlachetniejszym, lecz jak zawsze ślepym porodem stanęła trójca: *Dio, Alberto e Pio*, i od morza do Pireneów odbił się okrzyk: *Italia fara da sè!* Propaganda ta, oparcia się jedynie na własnych siłach, przeciwno której tak niebezpiecznie byłoby coś

mówić, wychodzi z głównego sztabu armii, z ministerjum Turynu. Pomimo to, nie zakrywał Mickiewicz przed rządem uczucia swojego co do téj pewności, pokonania Austrii własnymi siłami. Radził prezesowi Cassatti, aby odpowiedział na odezwę Lamartina żądaniem 60,000 wojska francuzkiego, któreby przez Szwajcaryą weszło na płaszczyznę Lombardy i na linii bojowej, którą król już wytknął, stanęło. Sama obecność Rzeczypospolitej francuzkiej we Włoszech byłaby stanowczą. Nieprzyjaciel musiałby zwinąć linie swoje i spiesznym odwrotem ku Tyrolowi dążyć po jedynéj drodze, jaka mu pozostawała. Radetzki musiałby uciekać. Włochy byłyby oswobodzone na zawsze!

Ale tak nie było postanowione w wyrokach opatrności, która nim dozwoli powstać z gruzów obalonemu narodowi, przeprowadza go przez ciężkie próby, coby stałość swoją i cnoty swe hartował i czyścił ku lepszym losom.

Wszelkie usiłowania, wszelkie namowy, aby przyjąć ofiarowaną pomoc Francuzów, były daremne; pomimo całego zapалу dla Polaków, najszczerzego uczucia i braterstwa, jakiegośmy codziennie doświadczali, zawsze, jak rozmowa przeszła na ten przedmiot, przychodziło do okropnéj walki; najlepsi patryoci, kobiety stojące na czele ruchu całego, jak księżna Belgioso, Rossi, i tylu innych niewachali się oświadczać publicznie, że między pomocą Francyi i nowym najazdem Austrii wybiorą w nieśćczęściu drugie, *jako mniej krzywdzące naród, i mniej niebezpieczne!*

Czujemy, i powiadamy śmiało, że iskra pierwotna tego fałszywego ognia, tego ślepego patryotyzmu wypadła z kuźni Meternicha. Ale żadna siła nie jest dosta-

teczną, aby walczyć z powszechną ślepotą; — jest to przeznaczenie, dokonać się musi.

Rząd tymczasowy Medyolanu przyjął punkta umowne co do legii polskiej; zgodzono się na te same warunki, jakie zawarł generał Dąbrowski z rządem republiki Cisalpińskiej, dodano: że w żadnym razie legia nie może być użyta przeciwko Francji, i że na wypadek rewolucji na polskiej ziemi, legia na wezwanie rządu Polski z uzbrojeniem i umundurowaniem iść będzie mogła, zostawiając dwóm rządóm porozumienie się o wynagrodzenie Lombardji, za kosztą podjęte.

Przeznaczono nam koszary San Gerolamo, gdzieśmy się wszyscy przenieśli 12. maja. Kilkunastu rodaków, najwięcej oficerów przybyło z Paryża na wieść formacyi. Oczekiwaliśmy codziennie pułkownika Kamińskiego, który w Strasburgu z kolumną swoją (260 ludzi) dowiedział się o legionach i na wezwanie Mickiewicza przez Szwajcaryą dążył tem chętniej, że pomimo dwóch rewolucji niemieckich tryumfujących, nie było podobnem przeprowadzić oddziału Polaków przez Niemce, chociaż osobno jadących przepuszczano do Polski. *)

Wspomniałem już pani w pierwszym liście, że Mickiewicz rachował wiele na niewolników Sławian, których więziono w Como-Aleksandryi, i w twierdzy medyolańskiej. Jakkolwiek rząd i nikt w Medyolanie nie podzielał nadziei naszych, i nawet nie wierzył, że Węgrzy a szczególnie Kroaci, (których Austria do dzikich morderstw swoich używała we Włoszech) byli plemiennikami Polski; jakkolwiek liczba nasza razem z Mickiewiczem i oficerami nie wynosiła 30, żądaliśmy, aby nam

*) Była to trzecia kolumna emigrantów z Paryża.

wydano przynajmniej tymczasowie Polaków z pułku ułanów galicyjskich, którzy tu w liczbie 20 znajdują się. Po dwu dniowej o to rozprawie minister wojny na wydanie Polaków ułanów zezwolił na odpowiedzialność Mickiewicza, któremu w pismach urzędowych miano *Capo conduttore* (przewodnika naczelnego) przyznawał, i jakim on był istotnie duszą i ciałem. Siodłkowiec jako najstarszy oficer zajmował tymczasowe stanowisko komendy wojskowej, zanim przybędzie Kaminski, który legją na linią bojową poprowadzi.

Służalski w towarzystwie dwóch ochotników rzymskich poszedł do fortecy dla przyprowadzenia więźniów, aby im pokazać różnicę ich położenia w Medyolanie, jako żołnierzy Austrii i jako legionistów polskich. Służalski miał rozkaz następny:

„Wyprowadzić niewolników w umundurowaniu austriackiem, jaki nosili w więzieniu, i iść z nimi przez miasto do kąpieli leżących na przeciwnej stronie. Tam po wyjściu z wody ubrać ich w mundury polskie i znowu środkiem miasta do koszar maszerować.“

Rozkaz był wiernie wykonany, i wrażenie największe rzucone na miasto całe i na samych niewolników. W pierwszej połowie marszu lud tłumnie się cisnął, lżył ich słowami, a nawet kamieniami ciskał, obecność jedynie legionistów zasłaniała ich. W drugiej połowie witano ich jako braci i zbawców. Z okien powiewały ku nim chorągwie, kobiety rzucały kokardy i kwiaty. Krzyczeli wszyscy: *Niech żyją Polacy!* Na placu katedralnym, który od dnia rewolucyi w dzień i w noc lud tłumnie zalega, otoczony do koła Służalski musiał się zatrzymać, i gdy się dowiedziano, co to byli za ludzie, jeden z członków rządu obecny téj scenie, zmuszony był

stać na przyniesionym stole i ludowi rzecz całą wytłumaczyć. Zapałowi nie było granic. Kilkanaście tysięcy ludzi, na czele których maszerował batalion księży w całym uzbrojeniu, odprowadził ich do San Gerolamo. Mickiewicz wywołany musiał się pokazać i przemówić. Tegoż dnia na zastawionych stołach w kurytarzu koszar wszyscy legioniści i wielu Włochów jedliśmy razem obiad koszarowy, Mickiewicz ze łzami w oczach, i promienny całym natchnieniem swoim mówił o losach nowych ludzkości na drodze braterstwa ludów. Chwile podobnego szczęścia ani gościć długo na ziemi nie mogą, ani opisać się nie dadzą.

22. maja rano przyszedł list od Kaminskiego z *Lugano*, gdzie się on przez dwa dni zatrzymał z oddziałem dla wypocznienia po forsownym marszu, jaki zrobili przez górę ś. Gotharda prawie bez zatrzymania się. 24. wyjechał Mickiewicz do Como, gdzie nocował oddział polski. 25. o południu wszedł Kaminski do Medyolanu. Całe miasto wybiegło na ich spotkanie. Chorągwie gwardyi narodowej i wszystkich nowozaciężnych pułków, wyszły za bramy miasta. Chorągiew legii polskiej szła na przodzie kolumny poprzedzona przez deputacyą rządu tymczasowego i sejmu. Działa były na kastelu, wszystkie dzwony ozwały się, nowa radość, nowe owacy, nowe nadzieje.

Nazajutrz nowoprzybyli włożyli mundury i wzięli broń, pomiędzy nimi najwięcej było starych żołnierzy, służba więc rozpoczęła się natychmiast. Odebrano hasło i pozaciągano strażę. Pośród oficerami przytomnymi, sami żołnierze stanowili, którzy z nich wejdą przed innymi w organizacyą. Nieobeszło się bez zaści i nieporozumień; kilku nawet, trzeba wyznać z bo-

leścią, dowiedli czynem, że tylko przybyli dla nagród i w celu zysku, bo po uformowaniu dwóch pierwszych kompanii, w których miejsca dla wszystkich nie było, opuścili Medyolan.

Po dziesięciu dniach pobytu w Medyolanie legia gotowała się do wyjścia na pole bitwy, kiedy Klukowski przyprowadził 22 ochotników z Paryża. Niespodziany ten sukurs uradował do niewypowiedzenia legionistów i krajowców, którzy z największą niecierpliwością poglądali na powolny wzrost legii, do powiększenia której przecież rząd niedołężny stanowczo przyczynić się nie chciał. Odezwać się do Polaków w swoim imieniu nie zdecydował się. Żadnych funduszków dla przybywających z stron tak odległych o własnych dotąd siłach nie obmyślił. Zaczęła się już objawiać ta siła wsteczna, która w początkach, w formach nazbyt zuchwałych odrzucała wszelką obcą pomoc, ziębiąca zapal rewolucyjny. Napróżno niecierpliwy Mazzini lud gromadził i na czele jego rządowi groził. Nie wstydzono się mówić publicznie, że losy Włoch są w ręku Karola Alberta, że od króla tylko instrukcje przyjmowane być mogą. W umysłach prawie wszystkich przyłączenie Lombardo-Wenetów pod berło sardyńskie było przyjęte, z tym jedynie warunkiem, ażeby król Sardynii ogłosił się królem Włoch. Po wysłaniu pierwszej deputacji pod Peschiera, gdzie król i główny sztab się znajdował w tej treści: Rząd Lombardyi dopuścił się zdrady; rewolucyi, która go wyniosła, przeniewierzył się — uległ wpływowi gabinetu turyńskiego i widokom Austrii.

Dwie pierwsze kompanie pod wodzą Kaminskiego 17. czerwca wyszły na linię bojową. Dostały rozkaz zajęcia strony pogranicznej od Tyrolu, niedaleko mia-

steczka *San Antonio*, które Durando młodszy ze sztabem swym zajmował, jako dowódzca korpusu. Pułkownik Menara z czterema kompaniami piechoty *Della morte*, jeden batalion ochotników górali i bateria artylerji oddane były pod komendę Kaminskiego. Kompanie polskie w czasie boju przeznaczono do robienia służby basalierów (tyralierów). Pierwsza z nich pod dowództwem Werna, obozuje na samym czele kolumny po za jeziorem, druga przy całym oddziale.

Oprócz opuszczonego kościółka, gdzie mieszka pułkownik, innego domu tu nie ma, mieszkamy wszyscy w budach zrobionych ze słomy, aby przynajmniej podczas dnia ukryć głowę przed nieznosnym upałem, a w nocy nie być zupełnie wystawionym na chłodną rosę, która po dniu tak gorącym dokucza niemiłosiernie. Gorączki panujące w tych okolicach (waloria) mało nas dotknęły; oprócz dość rzadkich paroksyzmów febry, innych słabości niedoświadczamy; oddziały włoskie, pomimo to, że obeznane z tym klimatem wysyłają do szpitala swoich codziennie.

Niezbywało przecież żołnierzowi na niczem, codzień przywożono mięso i inne produkta w najlepszym gatunku, wina było dostatkim. Żołd większy, jak gdziekolwiek, wypłacano co dni dziesięć najregularniej. Rząd Medyolanu z ofiar obywateli miał sumy ogromne, wszystko złoto i srebro magnatów i bogatszych właścicieli weszło do kasy narodowej. Lita, Belgioso i wielu innych dawali krocie, formowali pułki całe piechoty, po kilkaset koni, zakupionych wielkim kosztem za granicą, przysyłali. Lita darował kilkanaście dział pozycyjnych, które na wagę srebra kupił. Niebraknie więc zasobów,

niebraknie zapachu i poświęcenia się w ludzie. Niedołężne tylko prowadzenie zabija wszystko!

Każdej prawie nocy patrole nasze ścierają się z patrolami austriackimi w górach. Nieprzyjaciel ustępuje zawsze, kapitan Wern niekiedy z całą kompanią przedziera się przez góry i na stronie już austriackiej (pomimo najsurowszego zakazu) zabiera im żywność i konie, i takim sposobem zatrudnia żołnierza, który z największą niecierpliwością oczekuje boju w otwartym polu; a tu już od miesiąca stoimy prawie bezczynnie. Korpus generała Durando (młodszego) postawiono tu jedynie dla rozerwania sił, był to nowy dowód, że ministerjum Turynu sprzyjało Austrii; do obserwacji tej albowiem dwie kompanie piechoty były dostateczne.

Tymczasem zdobycie Peschiera, którą król z tak olbrzymim materiałem wojennym i tak długo oblegał nowym szalem podziwu opętało Włochy. Karól Albert w trójcy opiekuńczej stawiany był przed Bogiem. O papieżu zaczęto już powątpiewać, medale jego były przed kilku dniami jeszcze na wszystkich piersiach, dzisiaj przeklinają go, bo wojska jego nie ruszyły dotąd z nad granic Romanii. Generał Pepe, który dowodził przednią strażą korpusu, nieodebrawszy żadnej odpowiedzi na ządania wielokrotne, aby na linię bojową wystąpił, 29 maja z 8000 wojska ruszył i do obozu przyszedł; a kiedy mu w sztabie nie obiecywano pochlebnego przyjęcia u króla, opuścił obóz i wszedł do Wenecyi.

Mickiewicz z kilku oficerami pojechał pod Peschiera do obozu, aby się widzieć z Karólem Albertem i chęci szczerze Polaków jemu przedstawić. Przyjęty był z oznakami największej czci i kilka razy z królem rozmawiał, pomimo jednak obietnic i najserdeczniejszych za-

pewnień nie stanowczego o przyspieszeniu formacyi legii nie postanowiono. Trzeba było i dalej rzecz prowadzić o własnych siłach, ufając jedynie, że Bóg pomoże, jeżeli czas czynienia korzystnie dla ojczyzny już przyszedł.

Po zdobyciu Peschieri, gdzie piechota piemontska kilka godzin była w ogniu i dzielnie szła po dwakroć z bagnetem na wały *) i nam ożyły serca. Wojsko króla Sardynii wynosiło 160,000, Austriacy takich potęg nie mieli. Po tém zwycięztwie zaczęto porównywać siły, bo włoskie wojsko po raz pierwszy biło się *rzeczywiście*. Trzeba więc było nowych usiłowań, ażeby zastęp legii wzrastał, bo lada dzień za uciekającym nieprzyjacielem legia w jakiegokolwiek sile, i na jakiegokolwiek losy pójdzie ku stronom ojczystym; to postanowienie Mickiewicza nikomu w legii tajnem nie było. Wyjechał więc M. Chodźko 30. maja do Paryża z poleceniem, aby stanął przed rządem tymczasowym Francyi i prosił go o pomoc dla legii, przedstawiając, że we Włoszech tylko formowane legiony polskie mogą dzisiaj Polsce usłużyć. Francya albowiem wojny z nikim nie pragnie, a dekretem rządu tymczasowego minister wojny szykowanie legionistów polskich miał rozkazane.

Pismo Mickiewicza do rządu Francyi obejmuje szczegóły wszystkich korzyści, jakie wyniknąć mogą dla Włoch, dla Polski i dla saméj nawet republikańskiej Francyi ze znacznego powiększenia legii. Trzy punkta główne są rozwinięte w tem piśmie, które w dziejach okropnem będzie świadectwem przeciwko wielu.

*) Kilku oficerów polskich szczególnie się odznaczyło w tym szturmie, widziano ich z bagnetem w ręku o kilkadziesiąt kroków przed wojskiem.

1) Ażeby rzeczpospolita Francyi wzięła pod swą opiekę *urzędownie* legią polską, zawiązaną w Medyolanie i już czynnie służącą sprawie wolności.

2) Ażeby oddziały uformowane we Francyi z emigrantów polskich i pod ich wodzą wysadzone były w trzech miastach portowych *Zora, Spoletro i w Ragusa*, w czasie oznaczonym wypadkami i po porozumieniu się z urzędem legii, bijącej się we Włoszech.

3) Ażeby rzeczpospolita Francyi ogłosiła solennym i urzędowym manifestem przed Europą: *że państwo Austrii sklezione z narodowości, które dziś dobijają się o niepodległość, politycznie nie istnieje!*

Przybył Chodźko do Paryża, w kilka dni po manifestacyi 15. maja. Jakkolwiek nowy rząd wiedział doskonale, że ruchowi temu w niczem emigranci polscy nie dopomogli, że imienia Polski użyto dla widoków miejscowych w czasach teroryzmu, pozory stoją za dowody. Obwiniano więc Polaków. Stronnictwo wsteczne i jego gazety krzyczały na burzliwość narodu, który sieje ochoczo propagandę zaburzeń, aby z zamętu powszechnego swoją niepodległość wydobyć.

Zostało jednakże przy ministeryum kilku ludzi z dawniej opozycyi, ministrem spraw zagranicznych jest *Bastide*, wewnętrznych *Recourt, Lamartin*, otwarty wróg Polski, używa jeszcze wielkiej powagi i nic się bez jego zatwierdzenia nie dzieje.

Po przełamaniu wielu trudności Chodźko dostał się do gabinetu Bastida i pismo Mickiewicza doręczył. Podziwiano treść rzeczy, i genialne widoki na przyszłość. Lamartin uwiadomiony o wszystkim, zezwolił na widzenie Chodźki; przez dwie godziny wypytywał go o wszystkie szczegóły, i po wysłuchaniu, odparł zimno

wszystko, pozycyi legionów polskich we Włoszech nie pojmował. Odebrał odpowiedź, na jaką Polak mógł się zdobyć w samo serce uderzony, bez ubliżenia przecież Francyi w osobie tak wysokiego dygnitarza. Bastide przytomny téj rozmowie, wychodzącemu Polakowi powiedział do ucha: *jutro czekam cię o 10. rano, co będę mógł, zrobię na moją odpowiedzialność.*

Jakoż istotnie po długiej naradzie, (której *Ledru Rollin* i deputowany *Varin* byli przytomni) stanęło na tem, że ministeryum spraw zagranicznych zajmie się legią polską we Włoszech, o ile to leży w jego atrybucjach, że pierwszym krokiem będzie pismo do ministra spraw wewnętrznych, które sam *Chodźko* doręczy z żądaniem: *aby Polacy emigranci, których zamiarem jest udać się do Medyolanu dla zaciągnięcia się do legii polskiej, dostali natychmiast paszporta, i żołd trzy miesięczny, z którego $\frac{1}{3}$ część wypłacona będzie na ręce każdego legionisty, dwie części do rąk oficera, dowódcy wychodzącego oddziału, któremu *Chodźko* da na to upoważnienie. Oddziały złożone będą z 30 ludzi i oficera, i pójdą przez Dijon i Szwajcaryą. Kwatery na nocleg urząd każdego etapu wyznaczyć będzie obowiązany.*

Minister spraw wewnętrznych *Récourt* po odczytaniu pisma, wydał natychmiast potrzebne rozkazy. Wydział spraw tyjących się emigrantów w tymże samym dniu odpowiedział, że czeka na listę ochotników, i że co jemu uczynić dla Polaków rozkazano, dopełni.

W tym czasie trzy części starój emigracyi już opuściły Francją, ci co pozostali (oficerowie z dawniej służby), pragnęli wejść do legii, ale na właściwą sobie pozycyą. Trudno było, i rzeczywiście trzeba było cudu, aby ludzie już schyleni wiekiem i tyłu cierpieniami, za-

palili się ogniem tych, którzy rzecz prowadzili. Listy zaczęły się formować. Pisano z prowincyi, że codziennie przybywa młodzież do Strasburga i innych miast pogranicznych, że dwie kolumny wyszły przed miesiącem z Paryża zatrzymano w Nadreńskich Prusach, że pułkownik Borzęcki, który stoi na ich czele, czeka tylko na środki materyalne, aby drogą wytkniętą przez Kaminskiego maszerował.

Żądano zewsząd funduszków na odzież, na obuwie, na opłacenie kosztów podróży! — Chodźko odpisywał wszystkim, nie tając smutnej rzeczywistości, że funduszków żadnych nie było, i jako jedyną pomoc, postanowienie Bastyda komunikował, ale i to dla Polaków mieszkających po zakładach praktycznem nie było; bo władze prowincjonalne trzymały się ślepo brzmienia dekretu: *oddział ma być złożony z pięćdziesięciu emigrantów i t. d.* Jak te oddziały gromadzić bez wysłania ludzi znających służbę i miejscowość, a do wysłania i utrzymania ich, do przeprowadzenia z jednego miejsca na drugie oddziałów nim się pięćdziesięciu zbierze, potrzeba znacznych funduszków.

Przecież młodzież przybywała do Paryża. Z tych przed kilku tygodniami opuścili Płockie i Augustowskie, (z kąd prawie cała młodzież, jak ptastwo podróżne ciągnęła ku zachodowi), znalazło się przeszło stu na liście Chodźki, *ale tych rząd nie uznawał za emigrantów, dekret ministra do nich się nie stosował.* Poruszone były wszystkie godziwe sprężyny, aby tę piękną i ochoczą młodzież, zanim zkąd ratunek nie przyjdzie, używić i opatrzyć.

Mickiewicz uwiadomiony o wszystkim, zostawił Siodółkowicza w koszarach San Gerolamo, jako komen-

dantą zakładu (depôt) legii, i sam do Paryża pospieszył. Mówiono już we Francyi o legii, jako o czynie dokonanym, jako o cudownem wyprowadzeniu myśli narodowej z samjéj jedynie wiary, z poczucia polskiego. Z tego skarbcza wszystkich sił na przyszłość. Stronnictwo Czartoryskiego, Zamojski, którym jedynie zarzucamy nie-szczerość względem legii, w całym tym ruchu zaczęli się nakłaniać, oświadczać publicznie, że siły rozrzucone po Włoszech trzeba zgromadzić pod jedną chorągiew. Na listy ich odpisywał Mickiewicz, szczerze powiadając, że broni jedynie *Symbolu* legii, że co do dowództwa ludzie wojenni mogą się z sobą porozumieć, że po uformowaniu kilku tysięcy, legionieści sami za szczęściem pójdą pod buławę wojownika, który do istnienia siły narodowej najwięcej się przyczynił. Książę Czartoryski kochający niezawodnie ojczyznę, jak my wszyscy, z form dawnych nie ustąpić nie mógł, rzecz cała musiałaby przechodzić przez wydziały. Po kilku dniach najserdeczniejszych usiłowań ze strony Mickiewicza i zaręczeń ze strony pana Zamojskiego, rzecz wróciła na dawne stanowisko; książę Czartoryski nie znał się na wojskowości, należała ona do wydziału p. Zamojskiego, a pan Zamojski chciał, aby mu oddać legią na dyskretyę, na czele której on tymczasem pułkownika Breańskiego postawi, pod tym warunkiem miała być otworzona kasa wydziału wojennego na formacyą.

A czas drogi upływał. Z Paryża zaledwie jeden oddział mógł być wysłany po upłynionych sześciu tygodniach, bo już Bastide opuścił ministerjum, a nowe po-stanowienie swego poprzednika wykonywało bez chęci; każdą rzecz wydobywać potrzeba było z okropnem wysi-leniem, i ze stratą wielką czasu.

Navarra, 23. lipca.

Nagle wyjście nasze z obozu przerwało opowiadanie moje, przyszliśmy tu przedwczoraj.

Wracam do rzeczy:

Kiedy się tak dzieje we Francyi; położenie legii naszej na linii bojowej coraz staje się nieznosienniejsze, bo wojna każdego dnia przybiera posępniejszą postać. Utarczki nasze z nieprzyjacielem niedołężne, i zawsze prawie odwrotem kończące się. Wygrana pod Peschiera była tylko hasłem klęsk codziennych. Radetzki zamknięty w fortecach i dotąd małemi siłami drażniący króla, wystąpił w wielkiej sile i Włochów na drugą stronę *Po* rzucił, wszystko ku Medyolanowi posuwa się, popłoch powszechny. Utrzymuje jedynie nadzieja, że zwycięzka stolica, że Medyolan broniony przez wojsko regularne, zatrzyma już tryumfalny pochód Radetzkiego.

W Medyolanie jęk i zgrzytanie zębów, wszystkie kamienie wyrwano z ulic, z domów powyrzucano wszystkie sprzęty i poukładano z nich zapory. Przechodząc! dowód oczywisty braku zaufania w mężstwo własnego wojska, w potęgę króla Sardynii, któremu w ślepotę swą tyle Medyolan poświęcił.

Tłoczyło się wojsko do miasta, pozbawione już wszelkiego ładu. Król dzień tylko jeden zatrzymał się w Medyolanie; żądał, aby Polacy znajdujący się w liczbie 40 w koszarach, stanowili jego straż honorową, póki tu zostanie; chociaż ze wstrętem i z rozpaczą w duszy, Polacy zaciągnęli wartę. Lud Medyolanu patrząc na nich, jeszcze głośniej narzekał.

Nazajutrz 23. lipca wyszło całe wojsko z Medyolanu o świcie, król wymknął się potajemnie, aby go lud

nie postrzegł. Polaków zostawiono przy zamku królewskim bez rozkazu.

O czwartej dopiero po południu zeszli oni ze swego stanowiska, kiedy postrzegli lud uciekający zewsząd. Austriacy zbliżali się ku wałom miasta. Polacy pobiegli na wały. Jakież było ich zdziwienie! działa stały opuszczone na wałach, nikt nie pilnował. Szli więc ku bramom, kędy wojsko Karola Alberta uciekło; i tam od pułkownika jakiegoś, który straż tylną z kilku szwadronami stanowił, dowiedzieli się, że król z Radetzkim zawieszenie broni podpisał, i że wojsko piemontskie wraca do kraju! Tak skończył kochanek Włoch, bohater król!

Oddział nasz zaatakowany mocno przez 12,000 korpus tegoż dnia, wystąpił do walki. Austriacka piechota pochowana w załamach skał, strzelała do nas na cel, z dwunastu dział sypali na garstkę naszą kartacze! Durando z całym korpusem już się cofnął, zostawiwszy rozkaz, aby pułkownik Kaminski zastąpił jego odwrot.

Po kilkogodzinnej rozprawie Austriacy odstąpili. Kaminski śmiertelnie ranny i kilkudziesięciu z naszych zabitych, świadczyli raz jeszcze przed Bogiem i ludźmi, że Polacy umieją dotrwać do końca.

Kaminskiego odwieziono do *Breschia*, poległym braciom naszym wykopaliśmy grób bagnietami. Pułkownik Menara, jako najstarszy objął dowództwo nad nami, i poprowadził do *San Antonio* kędy już poszedł z całym korpusem Durando. Wchodząc do miasta, widzieliśmy piechotę austriacką uszykowaną na rynku, oni tu przeszli przed nami. Zawieszenie broni było już ogłoszone; po kilku chwilach wypocznienia poszliśmy dalej, i téjże nocy przeszliśmy granicę Piemontu.

Stoimy tu już od trzech dni, i o dalszych naszych losach dopytujemy się. Oczekujemy wiadomości z Paryża, podobno, że i tam nie dzieje się lepiej.

Polecam siebie i przyjaciół moich wspomnieniom drogiéj pani, — i braci naszych, pracujących na jednéj drodze z nami na ojczystéj ziemi, pozdrawiam.

M. † † †

Stojąc tu już od trzech dni i o dalszych naszych
losach dopytujemy się. Oczekujemy wiadomości z Pa-
ryża, podobno, że i tam nie dzieje się lepiej.
Polacznik siebie i przyjaciół swoich wspominał
drogą panie — i braci naszych, przesiedleńców na jedną
drożkę z nami na ojcowskiej ziemi, podziwiam.

M. + + +

L I S T III.

Florencya, dnia 17. paźdz. 1848.

Listy drogięj pani zapisane do Vercelli tu odebrałem. Za wierny obraz szlachetnych usiłowań w prowincyi Poznańskiej, i ich tragiczne rozwiązanie, nie wywdzięczę się pomyślniejszą wieścią; chociaż nieprzyjaciół tu nie uciechył się zemstą nad bezbronnymi Polakami, chociaż radujemy się dla ojczyzny, że bytność nasza we Włoszech, i pochód orłów polskich przed oczami nieprzyjaciela zjednały nam tu sprzymierzeńców na wieki. Niedługo, i pewnie niedługo gromadnieć tu się zbierzemy, aby spieścić po zwycięstwie tam, kędy wzrok się nasz obraca, gdzie lecą nasze westchnienia. Z każdym dniem wzmacnia się przekonanie, że tu naprzód miejsce chorągwi, że na téj jedynie ziemi zamieszkanéj przed lud pełen miłości i spółczucia, pełen uwielbienia dla Polski, bogatéj we wszystkie materyały niezbędne do prowadzenia wojny,

znajdą zawsze Polacy przyjęcie godne ich przeszłości. — Z Austryą naprzód Polakom rozprawić się ostatecznie wypada, bo w téj wojnie najwięcej mamy sprzymierzeńców, bo ze strony moralnej ona jest sercem (jeżeli to wyrażenie się o Austryi jest właściwe) ligi szatańskiej, bo nareszcie Austrya nigdzie ostatecznie pokonaną być nie może, jeno we Włoszech.

W piersiach nieszczęsnej Italii rozrósł się korzeń żywotny Austryi, ztąd cały jój byt duchowy i materyalny rozlewa się aż do najdalszych krańców kradzieżą i podstępem zdobytego jestestwa. Z Austryą bój na śmierć — z Austryą jedną niegodzi się nawet marzyć przymierza.

Po ostatniej klęsce legia nasza z całym wojskiem lombardzkim została niejako na dyskrety Karóla Alberta, cechy jój pierwotne legii, które istotnie całą jój potęgę stanowią, nie mają tu takiej ceny: w Medyolanie uważano legią jako przymierze narodu bohaterów i męczenników z odradzającą się Italią, za udział Polaków w jój sprawie ślubowała ona wdzięczność nieśmiertelną; tu legia polska jakkolwiek szanowana i za wzór wojsku całemu w rozkazach dziennych stawiana; uważana była ze strony moralnej jako garstka walecznych ludzi kosztujących wolności, którzy tu przyszli zginąć za nią i nie więcej.

Mamy jednakże najgłębsze przekonanie, że za pomocą Bożą przy pierwszym ruchu z tego niewygodnego stanowiska dla celów naszych, dla pierwotnego symbolu legii, wydobędziemy się; legia nie ślubowała królowi Sardynii, sumienie legii człowiekowi przysięga nie zobowiązane, a jeżeli żołnierze polscy pobierają żywność i zapłatę, robiąc służbę czynną w mieście, biorą zapłatę wyrobnika i nie więcej — dla chorągwi polskiej nie ma zapory. Legia może iść do Wenecyi, która już wielokrotnie nas wzywała;

ale czujemy, że zamykać chorągwi w murach bohaterskiego miasta nie godzi się; czujemy, że przez cały ciąg wojny, dopóki powstanie potrafi się opierać Austryakom, Wenecya szczerze obleganą nie będzie, a przeto przez cały ciąg walki musieliby Polacy zostać bezczynnie. A w godzinie nieszczęścia, gdyby tą razą jeszcze przeważyla szala despotyzmu, Austria zdobycie Wenecyi zostawi na ostatni swój tryumf, na ostatnią zemstę, — każdy co się nad położeniem legii polskiej we Włoszech zastanowi sumiennie, powody te oceni. Chorągwi w murach zamykać nie godziło się — ona jest olbrzymią potęgą, ale wśród białego dnia, na szerokiem polu.

Jakkolwiek pierwotny zapał Włochów dla Karóla Alberta mocno słabiej każdego dnia, jakkolwiek każdy człowiek zdrowych zmysłów oburza się na niedołężność w dziejach niepamiętną króla i rządu oddających Medyolan bez wystrzału, król sam tylko ze wszystkich panów biednej Italii przeciwko Austrii wystąpił, on jeden ma jeszcze wojsko i skarb; on nawet pragnął, usiłował, ale mu ten albo ów przeszkodzili, — tak się biedni łudzili — a jemu chodziło jedynie o własną chudobę, może w lepszych chwilach błysła mu przed oczy całych Włoch korona — uśmiechał się do niej w duchu, ale jak dziecię nieświadome siły rąk własnych — zgubił siebie i Italję ruchem nieodpowiednim duchowi czasu, oglądaniem się za półśrodkami.

Z Paryża odbieramy często wiadomości. Mickiewiczowi ofiarowano fundusze polskie na dalsze formowanie legii, młodzież przybywa zewsząd; oddziały wychodzą z Paryża przez Bourges (z powodu drogi żelaznej) do Marsylii; w Emigracyi obudziło się nowe życie — powszechne jest mniemanie, że stan poniżenia Francyi nie-

długo przeminie, że się obudzi geniusz uspiony wielkiego ludu, który niedawno jeszcze jednem skinieniem ręki tron Ludwika Filipa wywrócił.

Z rozwidnienia się tego umysłów, z tych słodkich nadziei wynikła krwawa rzecz czerwcową — prawo szabli Cavaignaca, morderstwo bez sądu — wygnanie. Niestety te nie zatrzymały starań Mickiewicza o powiększenie legii, oddziały wysyłano natychmiast po ich ubranie z Paryża do Marsylii. Dnia 9. sierpnia dopiero dowiedziano się w Paryżu o zajęciu Medyolanu przez Austryaków. Ta wieść straszna zmieniła postać rzeczy. — Oddziały zgromadzone w Marsylii w liczbie 180 (z małym wyjątkiem młodzież nowo przybyła z Augustowskiego) miały rozkaz 14. sierpnia odpłynąć do Genui i ztamtąd do Medyolanu spieszyć wskazanemi etapami. Nie było chwili czasu do stracenia — zatrzymano dalsze wysyłanie ochotników. M. Chodźko tegoż dnia wyjechał do Marsylii (10. sierpnia) z poleceniem: *aby czas jakiś zatrzymać odpłynięcie ochotników, a po dowiedzeniu się o losach legii, i gdzie się ona znajduje? ku nim spieszyć przez Niceę, lub morzem przez Genuę; fundusze miały być przesłane na potrzeby oddziału do Marsylii.*

14. Sierpnia spotkał Chodźko ostatnią kolumnę w Avignon i razem z nią koleją żelazną do Marsylii tegoż wieczora przybył. W koszarach już wiedzieli o zdobyciu Medyolanu — naradzali się bracia nasi co czynić wypada. Stronnictwa emigracyjne, które w formowaniu legii nie miały udziału, rozsiewały popłoch, mówiono młodzieży: *idziecie w ręce Austryaków.* Jakkolwiek oficerowie (wszyscy prawie) szli do legii z poświęcenia się i istotnie zupełnie nie stracili nadziei, przysłuchiwali się gotującej się burzy, rozmyślając nad własnym losem.

Przybycie Chodźki, i otwarte przedstawienie rzeczy powróciły dawne zaufanie do Mickiewicza i co lepsze jeszcze, nadzieję służenia korzystnie dla ojczyzny: — powiedział im M. Chodźko: *Zapisałiście się do legii na wezwanie Mickiewicza, ja trudniłem się formacją waszą, i szczegóły powinności waszych nowych tłómaczyłem; za zaufanie jakiegoście dali nowe dowody, winienem wam wszystkie chwile życia mojego, i całą moją krew, dopóki nie opuścicie przyjętego symbolu, dopóki wierni zostaniecie chorągwi. Przybywam do was w złej chwili; abym dzielił los wasz. — Jeżeli są tacy, coby chcieli wrócić, niech mówią dzisiaj otwarcie, dopomożemy im nawet ile w możliwości naszej — ale kto pragnie pozostać, musi wolę swoją w rzeczach porządku złożyć na sumienie tych, którzy wam przewodniczyć będą do czasu, aż usposobieni innym przewodniczyć będziecie zdolni. — Idziemy dzisiaj do Włoch na niepewne losy — gwiazdą naszą przewodniczką jest ufność nasza w Opatrzność, w czystość naszych zamiarów, w przyszłość matki ojczyzny itp.* Przeznaczył Chodźko jednego z oficerów, któremu żądający pozostać w Marsylii, lub też wrócić do Paryża, winni byli oświadczyć się. Po upłynionych czterech dniach, które obrócono na potrzebne przygotowania do podróży, nikt się z listy nie wykreślił, wróciło zaufanie — sale koszar brzmiały pieśnią polską — wszyscy obiadowali u jednego stołu, służbę w koszarach pełniono po kolei, młodzież starszych od kolei służenia uwalniała.

28. sierpnia odebrał Chodźko nową instrukcją od Mickiewicza i oświadczył w koszarach, że legia znajduje się w *Vercelli* o dwa dni drogi od *Genui*, że za dni cztery mogą się połączyć z braćmi, których laur trudu wojennego i wytrwania już wienczył, że jutro

o 9tej rano odpłyną na okręcie parowym rzeczywospolitej francuzkiej *Périclès*. — Radość była wielka, w chwili uniesienia po staropolsku wszyscy się pobratali w jedném uściśnieniu! — aby tę chwilę szczęścia przedłużyć, zaprowadzono oddział w szyku wojennym na brzeg morza, zkąd popłynęli za *Château d'If* i na przeciwnym brzegu téj twierdzy wysiedli; gdzie skromna czekała ich uczta w wioseczce rybackiej, rozrzuconej wśród skał przepaścistych. Późno, już po północy wrócili do koszar, gdzie im oświadczone, że o 8mej rano ma być wszystko w pogotowiu. Nazajutrz po dokonaniu koniecznych formalności co do paszportów i t. d. o 9tej godzinie rano wyszedł oddział polski z koszar z rozwiniętą chorągwią. Po odczytaniem apelu na brzegu morskim, siedli do czekających już na nich łodzi, o 10tej rano byli już na okręcie i tam dopiero jedli śniadanie, po południu podniesiono kotwicę.

W Marsylii jeszcze przyprowadzono do Chodźki jenerała włoskiego nazwiskiem *Torres*; był on emigrantem politycznym od lat wielu, dziś pragnąłby wrócić do Genui, ojczyzny swojej; nie było innego sposobu przewiezienia téj kontrabandy, jak zapisać jenerała pod nazwiskiem polskiem na liście ochotników. Zgodził się na to chętnie i poprzestawał z pokorą na skromném pożywieniu legionistów; bo racya dla komendanta, oficerów i żołnierzy była jednaka, po dwunastu z jednej jadali misy, dwunastu piło wino z jednego naczynia. Noc przepędzali wszyscy na deskach pokładu, łózek dla oficerów ofiarowanych przez kapitana okrętu Chodźko nie przyjął, praktyka albowiem braterstwa rozpoczynać się zawsze powinna od tych, którzy braterstwo głoszą. *Torres* unosił się nad swobodą i pięknnością mło-

dzieży naszój. Ale jak droga pani niedługo zobaczy, zmieni on niedługo przybrane formy i inszą przybierze postawę.

Czas był najcudniejszy, przy zachodzącym słońcu na pasie brzegu już włoskiego rozścielały się wyspy Nierskie, dalej jak zasięgnie oko, bieleją miasta Italii, — wieżycy kościołów unosily się nad ciemną zielenią gajów i złoczone igły swoje w zachodzącym kąpały słońcu. Dalej śnieżyste Alpy w połowie białe do nieba stały jak mur olbrzymi! a nad głowami niebo bez chmur. — Dziwne jednostajnością swą posępną, ale obliczem piękne, błogie spojrzeniem, uroczę dla ducha i myśli. Podobne do sumienia bez zmaży, do czystej karty do pisania przygotowanej; na niej Pan do woli słowa odkupienia i łaski, albo wyrok dalszej naznaczy niewoli.

W milczeniu skupione na przodzie okrętu smętne dzieci Polski poity duszę rzewnym marzeniem. Myśl ich leciała pod domową strzechę, gdzie ojciec, matka, gdzie wszystko ich najmilsze — *i gdzie jeszcze jedna!*

Wyrwała się pieśń — pieśń pełna żalu i uroku

Bywaj mi zdrowy kraju kochany,

Już w mglistej nikt nie powłóce,

Świsnęły wiatry, szumią bałwany

I morskie ptastwo świegoce.

Dalej za słońcem! i t. d....

Głosy były dobrane najdoskonalej, pieśń zachwycała wszystkich podróżnych. Cisnęli się ku nim, błagali o powtórzenie pieśni!

Tak ty biedna pieśni, ty Jeruzolimo nasza, grobami twojemi najświętsza! za całą spuściznę dałaś dzieciom twoim niewyczerpany skarb żywota. — Wygnańce, bez sposobu życia rozlewają życie wśród narodów, któ-

rym ubieganie się zbyteczne o losy ziemskie, wystraszyło żywot z duszy. — Ogień niebieski opuścił serca poświęcone jedynie ziemi. A ty bez ziemi stoisz pomiędzy ludźmi a Bogiem, jako godło przymierza, postannictwem twojem miłość i poświęcenie się, muszą cię przyjąć w duchu i iść za tobą, albo zagać bez żalu, jak ginie gad pełen jadu!

Pierwszą noc na okręcie spędzili ochotnicy nasi na rozmowach i pieśni. Kto w tej porze roku nie był pod włoskiem niebem wśród cichéj nocy na morzu, nie potrafi sobie wyobrazić wrażenia, jakie napęla duszę, a tém bardziej duszę wygnańca, duszę Polaka, idącego szukać ojczyzny! —

Nazajutrz przyплыли do Genui o godzinie czwartéj po południu. Istne miasto elbrzymów, spadające z obłoków jak awalansza z miliona gmachów. Marmur i złoto odbitemi promieniami z wież uderzały zadumione oko. Miasto tylu wspomnieniami drogie tej ziemi; i dzisiaj żywi ono jeszcze zarzewie ognia rewolucyi. Poglądają na nie synowie Italii łzawém okiem, lecz na jej widok serce ich krzepi się narodową dumą pełną nadziei: *Divina Genova!*

Zarzucono kotwicę w odległości mili morskiej od portu. Polacy uszykowali się na przodzie okrętu przy rozwiniętej chorągwi amarantowej, srebrnym połyskującej orłem. — Oficerów stojących na przodzie kolumny otoczył tłum podróżnych, podziwiano piękną postawę młodzieży i tę rzewną wesołość nieznana innym narodom. Kobiety zalewały się łzami. Wiedzano bowiem, że wyteżenie dyplomacyi, aby rozejm czasowy Piemontu i Austrii zamienić na pokój, nie przyjdzie do skutku. Obrażone Włochy w dumie święt narodowej

wołały o pomstę za oddanie haniebane Medyolanu. Wi-
dział król Sardynii, że stanął nieszczerością swą między
dwoma siłami; między siłą wsteczną, której sprzyjał
w duchu, a głosem Italii o niepodległość walczącój,
która go jako zbawcę przyzywała! — Jeszcze wszystko
gore duchem rewolucyi, codziennie powstają miasta.
Wenecya zbroi się i wrogowi urąga. Państwo papieskie
burzy się. Livorno dyktuje prawa Leopoldowi. Chcąc
niechcąc Karol Albert musiał jeszcze trzymać z ludem.
Polacy więc szli na krucyatę, która lada dzień znowu
się rozpocznie. Pomiędzy podróżnymi było kilku Moskali,
jeden z nich dał słowo przybyć do legii po ukończo-
nych interesach w Rzymie.

Polacy patrzyli w stronę miasta, oczekując niecier-
pliwie powrotu posłanego przez komendanta oficera
z uwiadomieniem o naszym przybyciu. Przypłynęła o go-
dzinie piątej łódź oczekiwana z oficerem, przybył konsul
Francyi, przywieźli odpowiedź odmowną: *Polaków przy-
bytych z Marsylii na okręcie Périclès gubernator Genui
do miasta przyjąć nie może. O przybyciu ich był uwi-
domiony, ma wyraźny rozkaz ministra wojny, wyłado-
waniu sprzeciwić się.*

Cios ten niepojęty i niespodziany sprawił powsze-
chne zadumienie, pomiędzy ochotnikami rozpoczęły się
żywe rozmowy. Chodźko nie tał już swoich domysłów,
i dla uspokojenia ich zupełnego, wzięwszy ze sobą ka-
pitana Hanke, wsiadł na powracającą łódź i popłynął
do miasta.

Gubernator za całą odpowiedź na zapytania i za-
dziwienia Polaków, pokazał pismo urzędowe ministra.

Wrócił Chodźko do okrętu. Cisnącój się koło niego
młodzieży powiedział, że jedną tylko pewność ma do

podzielenia z nimi w obecnej chwili, tę: że ich los, będzie jego losem.

Komendant naradzał się z konsulem, niedługo wezwano komendanta Polaków. Treść rozmowy była następująca:

Komendant okrętu rzeczypospolitej francuskiej miał rozkaz dostawienia oddziału polskiego do Genui. Nieprzewidziane odmówienie przyjęcia Polaków stawia go w krytycznym położeniu, z tego powodu szczególnie obowiązany jest dostawić podróżnych do rozmaitych miast leżących na brzegach śródziemnego morza na drodze ku Malcie. Jeżeli więc na tej linii nie napotka okrętu francuskiego, któryby chciał przyjąć Polaków i napowrót do Marsylii odwieść, będzie zmuszony wozic ich z sobą i powrócić z nimi. Konsul francuski oświadczył, że w atrybucjach jego wydarzenie podobne nie jest określone, i że komendant okrętu za wszystko jest odpowiedzialny. Wyższa jedynie zwierzchność wojskowa na morzu śródziemnym od odpowiedzialności komendanta Periklesa uwolnić może, dając mu stosowne rozkazy.

Pozycya Chodźki była krytyczna rzeczywiście, wiedział on dobrze, że legia była podkopywaną od swojego zawiązania się przez stronnictwo monarchiczne, że odrzucenie hetmana bez zasług na drodze ludu a oddanego zupełnie marzeniom własnej rodziny, musiało wywołać zemstę, — ta jeszcze się niedługo jaśniej odbije. Wielmożni na dworze króla Sardynii Polacy, dla legii polskiej, dla nadziei polskich, dla przyszłości ojczyzny, za którą cierpią wygnanie, wyrobili: odepchnięcie Polaków, rzucenie 200 rodaków na całą okropność losu. Ale Bóg jest niezmienny i względu na osoby nie ma. Bogu ufali legionieści.

Po rozmowach dwugodzinnych z konsulem i kapitanem okrętu, Chodźko przekonał się, że myśl, która go zatrudniała chwilowo, jakoby odepchnięcie pochodziło z nieprzyjaźni konsula francuzkiego, (która się czasem przebijała w jego rozmowie) była błędną, cios padał z Turynu, był oddawna układany. Targowiczanie i ich patryotyzm rozumowany, względny, patryotyzm z łaski, — Targowiczanie i tu wystąpili na scenę, raz jeszcze dokonali zbrodni przeciwko ojczyźnie.

Podczas téj rozmowy, nibyto *narady*, konsul francuzki nie spuszczał z oczu komendanta Polaków, i raz poraz zapytywał o *zdanie*. Chodźko słuchał cierpliwie, ale kiedy zaczęli za nadto opiekę swoją rozciągać nad Polakami, kiedy konsul te słowa powiedział: *Awantury wasze wprowadzają Francją ciągle w trudną pozycyą*; podniósł głos i powiedział: że jakkolwiek Polacy wdzięczni są rzeczypospolitéj za jęj interesowanie się o los ich, i w tém trudném położeniu postąpią sobie, jak im sumienie nakazuje. Wierni symbolowi legii i jęj chorągwi, władzy innęj nad sobą nie uznają, i że nareszcie niepodobna przypuścić, aby p. konsul rościł sobie jakieś prawo do dawania przestrog Polakom. — I cóż pan myślisz zrobić? co pan chcesz? — Popłynę dalej i w pierwszym porcie wysiądę z moimi braćmi. Jestem pewien współczucia Włoch całych, do celu zamierzonego przy pomocy Boga dójdę.

— Ale my nie możemy się zatrzymywać tylko w wiadomych punktach, określonych *prawami narodów*, zatrzymamy się dopiero jutro wieczór w Livorno.

— Wysiądziemy więc w Livorno.

— Jakto? w państwie Leopolda, arcyksięcia Austrii?

— Są tu dwie kwestye, z których jedna tylko do Polaków należy, Polacy zaufają ludowi, miastu Livorno.

— Ale w Livorno rewolucya!

— Wydałeś pan w téj chwili bez wątpienia, co pomyślałem.

— Gdybyśmy w czasie rewolucyi chcieli pana wysadzić, fregaty angielskie stojące na straży, sprzeciwią się.

— Po opuszczeniu okrętu francuzkiego zdamy się na wolą Boga, idzie nam tu wiele i o to, aby rzeczpospolita Francyi nie pokazała się przed Europą jako nieprzyjaciółka siostry swój Polski i t. d.

Na ultimatum rad swoich konsul francuzki dołożył: *Mojém zdaniem jedyna rzecz pozostaje do zrobienia, ta: abyś pan z ludźmi swoimi (vous, avec vos hommes) przesiadł się na tę fregatę* (pokazał na obszar morza, gdzie na mgle czerniały maszty fregaty Vauban) i tam oczekiwał wyjaśnienia rzeczy. *Za dwa dni odpowiedź z Turynu nadejdzie niezawodnie pomyslna i upoważniony wyłudzysz pan do Genui i pójdiesz, gdzie się mu podoba.* Chodźko odpowiedział, że Polacy nie są więźniami wojennymi Francyi, i że na fregatę nie pójdą.

Konsul odjechał, komendant okrętu chciał jeszcze projekt ostatni konsula zalecać i jako *jedyny* przedstawiać. — Chodźko mu odpowiedział: że uważa go jedynie jako gospodarza na okręcie i że od rad go uwalnia.

— Ale ja pana mógłbym zmusić do wylądowania.

— To co pan powiedziałeś, starajmy się obydwaj zapomnieć, a co do siły, ta jest po stronie Polaków — będziemy się bronić. Komendant odwrócił się nagle, i spojrzawszy na zegarek, rzekł: stoimy tu jeszcze godzinę, masz pan czas do namysłu.

— Już się namyśliłem!

Dał rozkaz i zawieszono na maszt główny wielokolorową chorągiewkę, był to *sygnał do fregaty*. Chodźko wrócił do swoich i wiernie rozmowę powyższą opowiedział. Trudność położenia dodała Polakom sił w nie-szczęściu, nadzieja, wierna ich drużka zajaśniała w duszy, i pieśń: *Jeszcze Polska nie zginęła*, zagrzmiała. Chorągiew uwiązano do jednej z lin środkowych na czele hufcu, rozdano ochotnikom wieczerzę, ser, owoce i wino — wróciła wesołość.

Kiedy rozdawano wieczerzę, postrzegł Chodźko nieobecność jenerała Torres, który wiernie dotąd do apelu stawał. Zaraz po rzuceniu kotwicy odpłynął on do Genui. Dziwiło to Polaków nie pomалу, bo przy wysiadaniu z okrętu prezentował paszport. — Musiał więc mieć paszport: — Jeden z legionistów widział go wsiadającego na łódź w innym już stroju.*)

Od strony miasta łódź przybijała do okrętu, był w niej Torres strojnie w cywilne suknie przybrany z dwoma Włochami. Torres pokazywał ręką na legionistów i kapeluszem ich witał.

Przedstawiał swoich przyjaciół Chodźce, prosił, aby dalej pod skrzydłem Polaków mógł pozostać, że o wyroku wydanym na niego w Genui dowiedział się: *wska-zany był na śmierć*, pozostał mu jeden tylko punkt ochrony, *Wenecya*, i do téj podróży Polaków namawiał. Wiedział już Chodźko o rozmowach jego z legionistami i zaczynał go poznawać, powiedział mu przeto otwarcie: że on własnym paszportem nadal będzie się zakrywał,

*) Oddział ten Polaków był ubrany tymczasowo w bluzy i pantalone z szarego płótna, pasy czarne lakierowane i konfederatki amarantowe.

że sprzeciwia się temu, aby ubranie legii znowu przybrał, i że od téj chwili powinien sam o sobie radzić: *Oddałeś się bez opowiedzenia się, wracasz z radami niewłaściwemi, daj nam pokój i radź sam o sobie.*

Pobladł ze złości i odszedł, z Polakami na osobności rozmawiał i jako jedyny ratunek *Wenecyą* wskazywał. Obiecywał doprowadzić o własnych siłach tych, którzy mu zaufają; rozdwojenie pragnął zaszczyć i jak droga pani ujrzy, niedługo w części zamiaru dokonał.

Od strony morza czerniła się Łódź o dwunastu wiosłach, wśród pieniającej się fali leciała ku okrętowi; na niej świecących od złota kilku oficerów. Wyskoczył kapitan okrętu i spojrzawszy na morze, krzyknął to jedno słowo: *l'admiral*. Kilkadziesiąt głosów ozwało się razem i w jednej chwili jak w zaczarowanym zamku wszystko inną przybrało postać. Stronę okrętu od steru wysłano bogatemi kobiercami, cały ekwipaż galowe przybrał ubranie, na środkowym maszcie olbrzymią powieszono flagę rzeczypospolitą. Kapitan okrętu z odkrytą głową stał na przedostatnim stopniu drabiny rzuconej do wylądowania. Łódź przyplęnęła — Baudin z dwoma oficerami sztabu wszedł na pokład. — Po zwykłych ceremoniach etykiety, która na morzu najstaranniej jest przestrzegana, przystąpiono do rzeczy. Komendanta Polaków zawezwano, rzecz działa się w salonie komendanta okrętu.

Rozmowa tą razą inny przybrała charakter. Kapitan okrętu po kilku słowach wstępnych nie miał już głosu. Admirał rozmawiał z komendantem Polaków. Natychmiast sumiennie rzecz legionistów wyrozumiał, zaręczał, że Francya w téj lekkomyślności (*l'inconséquence*) rządu turyńskiego nie ma udziału, że konsulowi Genui należy się jedynie jego rozmowa, że nareszcie dziwi go to mo-

cno, że kapitan *Periclesa* potrzebował rady albo instrukcyi w rzeczach, gdzie idzie o honor Francyi; tém łatwiej rzecz tę można było rozstrzygnąć, mając paszporta Polaków w rękach swoich. Jeżeli nie chciał ich uważać jako legionistów, mógł jako podróżnych wieść tam, gdzie oni żądali; formalność paszportową konsul Francyi powinien był dopełnić. Rzeczpospolita wydaje paszporta Polakom, komunikując się urzędownie z władzą legii tém samém ją uznała.

Kapitan okrętu okropnie zdetenowany, miłosierném na Chodźkę poglądał okiem, jakby chciał mówić: *żałuję za grzechy*.

Po takim obrocie rzeczy, admirał powrócił do tegoż zapytania, które rozpoczęło rozmowę z konsulem:

— Gdzież myślisz pan wylądować?

— W Livorno.

— A jeżeli tam pana nie przyjmą?

— Gdybym miał to usposobienie przed trzema godzinami, które mam w téj chwili, już byłbym w Genui. Daję panu admirałowi słowo, że w Livorno wyląduję.

Admirał obrócił się do kapitana okrętu.

Zatrzymaj się pan podług zwyczaju w porcie Livorny i konsulowi Francyi o przybyciu Polaków doniesiesz; Polacy sami rzecz wylądowania obmyślą! Wyszedł z izby i udał się na drugą stronę okrętu, gdzie w porządku młodzież polska za rozwiniętą stała chorągwią. Postrzegłszy chorągiew, uchylił głowy, cały ekwipaż stał po stronach z odkrytymi głowami.

Była to chwila wielkiego tryumfu, a raczej sprawiedliwości domierzonej narodowi męczenników. Duch wielkiego ludu Francyi z duchem Polski na chwilę połączył się. W tym sakramencie ożenienia tajemniczego

dwóch wielkich przeszłości dokonanych, leży rozwiązanie przyszłości wojującej. Francya nie opierająca się żelaznym swém znamięm o grób swój siostry, nie połączona z jój duchem czuciem gorącym — kłamie swojemu posłannictwu; a im przyszłość jój wznioślejsza, tém zaślepienie rządzców jój bardziej występne.

Admirał życzył szczęścia dzieciom *bohaterskiej Polski*. Przez uściśnięcie ręki ich komendanta wszystkich legjonistów witał i żegnał.

Łódź admirałska odpłynęła — za godzinę mają podnieść kotwicę.

Przez odjeżdżającego do Paryża pułkownika Spini list ten odsyłam, aby tam był wrzucony na pocztę. Za dni kilka odbierzesz droga pani dalszy opis wypadków.

M. †††

L I S T IV.

Florencya, dnia 23. Października 1848.

Wracam do opisu przygód oddziału legii pod dowództwem M. Chodźki, jako dopełnienie listu z dnia 17. Października.

Pomiędzy Genuą a Livorno żaden wypadek nowy nie zajął naszych podróży. Kotwicę podniesiono o godzinie 5tej, pogoda sprzyjała najpiękniejsza. Po burzy moralnej jakiej doświadczyli Polacy w tym dniu, przyszła noc spokojna i cicha. Okręt pędził lotem ptaka, niesiony całym wysileniem pary, żagle zwinięto, bo najmniejszego nie było wiatru.

Legioniści nasi spali snem niewinnych, losy swe powierzyli Bogu. Ale kapitan okrętu nie spał. Postrzegłszy Chodźkę rozmawiającego z kapitanem Hanke, zbliżył się do nich, i raz jeszcze za nieprzyjemności jakich Polacy doznali, (o ile on sam się mógł do nich przy-

czynić) przepraszał. Rozmowa od legionistów rozrzuconych w uśpieniu na gołych deskach pokładu, przeszła do położenia smutnego Francyi, wystąpiły na scenę przeciwne pojęcia polityczne i nie było pomiędzy Polakami i Francuzami zgody, ale kiedy przeszłość dwóch narodów weszła w rozmowę, ustąpiła zimna doktryna czynom dokonany, rozegrzana krew Francuza obudziła uśpione czucie, widział i czuł, jak Francuz prawy — resztę nocy przepędzili Polacy w jego mieszkaniu przy herbacie.

Ranek był chłodny, ale spokojny, okręt bez pomocy żagli biegł tak jednostajnym pędem, że gdyby nie brzeg włoski, który się rozciąga na lewo i usuwa się wstęcznym biegiem, mniemałbyś, że zarzucono kotwicę. Na wschodniem niebie łuna szeroko, jakby odbłysek odległego pożaru przezierała się w śpiacém morzu i połowę obszaru widomego zalegała. Jak zasięgnie oko, stada rozpierzchle morskiego ptastwa unoszą się nad powierzchnią wód, krzyk ich smutny i przeciągły rozlega się w przestrzeni. Gdzie niegdzie łódź rybaka o białym żaglu jak chciwa połowu rybitwa unosi się nad płaszczyzną morza, — myśl człowieka od widnokregu nieba bez chmur, sunie się powoli nieśmiała i samój siebie niepewna, aż do ostatnich krańców przepaści morskich! Nieudolna, chciałaby świat zjawisk zbadać!

To co widzi oko, niczém jest przed niewidomym światem przepaści, to co rozum zbadał, domysłem błędnym, nicością, przed ogromem tajemnych warsztatów przyrody, do których synom Kaina wstęp zabroniony. U bram kamiennych śmierć i przestrach stanęły na straży! Niezbadane, niepojęte, uczuciu nawet głębokiemu nieprzystępne morze! z łona twojego zionie żywot materyi,

to co ogrom twój pożera, oddajesz milionową lichwą. Odplacasz sówicie człowiekowi i przyrodzie, aleś niewdzięczne, złowrogie najwznioślejszym celom ludzkości!; z zimnych piersi twoich żywot dla ducha nie płynie! Bez wiedzy, bez woli, żyjesz życiem machin, wyższych warsztatów przyrody narzędzie, ulegasz panom twoim, których opatrność nad powierzchnią twą rozesała. Uległe bladym promieniom księżyca, słońcu, Bogu twojemu!

Na wschodniej stronie już bladła łuna pożaru, z zapadającej płaszczyzny morza wyglądał brzeg jasny słońca, ale bez promieni, jak żelazo rozpalone w ogniu, odbłysek jego zakrwawił cały przestwor strony wschodniej i biegł pasem ognistym aż do samego okrętu. W miarę podnoszącego się słońca, mnożyło się życie nad powierzchnią wód, zdawało się oczarowanemu uchu, że słyszy głosy jakieś dobywające się z głębokości morskich. Zniknęło ptastwo wodne, przestraszone nagłym szumem wody poruszonej ogromem potworów morskich, które wyskakiwały nad wodę wysoko i paszcze swe ku wschodzącemu otwierały słońcu. Niezliczone ich gromady wysuwały się z morza, wyskakiwały nad powierzchnię wód i spadały znowu ciężkie i tłustością swą obrzydłe.

W godzinę po wschodzie słońca upał już był nieznosny, gdyby nie osłony, które nad głowami rozpięto, wytrzymać byłoby niepodobna na pokładzie. Około godziny drugiej po południu spadł deszcz i ochłodził powietrze, rozjaśniało wszystko w przyrodzeniu i rozwiśniało w duszy człowieka. Pokład okrętu napelnił się znowu ludźmi.

O godzinie 4tej posłyszeli od strony Włoch przed sobą, jakby echo piorunu odbite o odległe skały, odgłos ten nabierał mocy im okręt dalej się posuwał. — Huk

dział! — majtkowie odgadli najpierw, rewolucya jeszcze nie uśmierzona w Livorno! — Niedługo port miasta ujrzeni bielejący zdała. — Okręta tego rodzaju zwykle stoją w samym porcie, dzisiaj przy płynąwszy o dwie mile morskie, zarzucono kotwicę.

Legioniści dostali rozkaz stanąć w porządku, o ile miejsce dozwoliło, tornistry na plecach i w gotowości na pierwsze skinienie. Nadpłynęło od miasta kilka łodzi kapitan okrętu podług zwyczaju, jednego z oficerów swych natychmiast wyprawił do miasta. Kapitan Hanke z porucznikiem Rykaczewskim odpłynęli za nim z poleceniem, aby najawszy potrzebne łodzie do przewiezienia oddziału, nie zatrzymując się w mieście, powracali do okrętu.

W mieście Livorno rewolucya; dwa bastiony twierdzy wchodzące w morze i na przeciwko siebie położone, pokazywały postęp ruchu ludowego; na lewym powiewała chorągiew trójkolorowa rewolucyi, na prawym chorągiew W. księcia Toskanii; ogień karabinowy szedł nieprzestannie ze środka miasta, kiedy niekiedy wystrzał działowy dawał się słyszeć. Ale cały port (uzbrojony we dwie groble daleko idące w morze, najeżone działami) jeszcze w rękach gubernatora twierdzy, wojsko zalegało wybrzeże.

W pół godziny po odpłynięciu oficerów polskich, powrócił oficer posłany przez kapitana okrętu, z nim przybyli konsul francuzki z żoną i jeszcze jakaś młoda kobieta — w kilka minut za nimi przy płynął adjutant komendanta Livorno z dwoma oficerami sztabu: *Gubernator uwiadomiony o przybyciu Polaków, chciał się przed wyładowaniem rozmówić z ich komendantem.*

Kiedy Chodźko rozmawiał z włoskimi oficerami, przybył Hanke i za nim dwanaście łodzi najętych do

przewiezienia legionistów. Hanke jako najstarszy oficer i najczynniej dopomagający, obejmował dowództwo w czasie niebytności Chodźki, miał polecenie takie: jeżeli za pół godziny Chodźko nie wróci, legionisci siadą na łodzie i przewiezieni zostaną na brzeg po za fortecą ze strony, którą lud zajmował — tam Hanke postąpi podług okoliczności mniej lub więcej przyjaznych, z tém jedynie zastrzeżeniem, aby w wojnę domową nie mięszał się, a gdyby w przeciągu nocy i do jutra rana Chodźko żadnej o sobie wiadomości nie dał: Legionisci pójdą brzegiem morskim ku Genui, zmierzając ku Vercelli, gdzie zakład legii (jak już powiedział im) znajdował się.

Odpłynął Chodźko z oficerami włoskimi. Komentant placu spotkał go na brzegu i w imieniu gubernatora witał. Wojsko ustawione we dwa rzędy w ulicy prowadzącej od portu do miasta, broń prezentowało, wystąpiły warty. Na placu przed domem kwarantany (Sanità) stała karetą gubernatora, do niej siadł komentant placu z Chodźką i jechali przez miasto. Na *Piazza di Duomo*, gdzie stał pałac gubernatora, dwie olbrzymie rzucono barykady — dziś rano z nich lud wypędziło wojsko — na jednej z nich jeszcze powiewała rewolucjonistów chorągiew.

Gubernator przyjął Chodźkę w wielkiej sali pałacu, otaczali go oficerowie różnych stopni. Zdziwienie było niemałe przytomnych (przygotowanych na ceremonialne przyjęcie) gdy za zbliżeniem się Chodźki, gubernator szedł ku niemu i uściśnieniem przyjacielskiem go witał. Chodźko do razu poznał go także, był to półkownik Cipriani, widywali się z sobą w Medyolanie, był on także pod Peschiera, widział tam Polaków i sam się odznaczył — rzecz pomiędzy towarzyszami broni uła-

twiła się bez etykiety. Cipriani nie tał swojego położenia. Znajomy powszechnie jako patryota, był postawiony przez w. księcia na urządzie, który go stawiał w najtrudniejszém położeniu. Lud zaczął strzelać do wojska, herby księcia pozrzucał i zelżył. — Na wezwanie gubernatora, aby żądania swe przez deputacyą przestał, odpowiedział wzgardą i sztyletami. Zdaniem Ciprianiego: *ruch ten był podniecany przez Austryę, lud sam nie wiedział, czego pragnął. Księżę żądania ludu zawsze uprzedzał, ale gubernator nie może ustąpić motłochowi, który wzgardliwie wyrzucić chce wojsko za mury miasta, wojsko, które dało swojego mężstwa i patryotyzmu dowody, w ostatniej walce przeciwko Austryi.*

Było niezawodnie wiele w tém prawdy, lud był narzędziem albo Austryi, albo ślepoty indywidualnej, malpującej Paryża roboty, *Guerazzi* stał na czele ludu widomie. Człowiek ten nieszczesny, który później tyle zaszkodził ludowi Toskanii i legii naszej, zrobił sobie popularność długiem więzieniem w Szpilbergu; ksiądz, rewolucjonista, człowiek słodkiej wymowy i wielkiej dumy, niedościgły i posępny, bez istotnego ognia rewolucyjnego w duszy, któryby z piersi jego dobyty, lud zagrzewał i prowadził. Knowania *Guerazzego* nie miały istotnie wyższych narodowych celów, zepchnąć z urzędu Ciprianiego, (którego za arystokratę głosił) i wymódz na w. księciu, aby jemu przysłało mandat gubernatora, to był istotny powód dzisiejszej rewolucyi; dopomagała ona bez wątpienia więcój Austryi jak Włochom, — i w tém zdanie Ciprianiego nie było zupełnie bez zasady.

Komendant placu odebrał zaraz na miejscu rozkaz od gubernatora, aby legionisci byli przyjęci ze wszelkimi honorami *należnemi orłowi białemu* (*aquilla bianca*)

niechaj wojsko nasze wjrzy tych najpierwszych żołnierzy świata, tych ludzi świętych bohaterstwem i poświęceniem się bez granic!

Jakby dla pokazania ludowi i Francuzom, jak szanowały władze w. księcia Polaków, sam komendant odprowadzał Chodźkę do okrętu. Łódź wybitą złocistą ceratą i okrytą na ławach kobiercami, dwunastu pędziło wioślarzy. Legioniści nasi patrzący niecierpliwie w stronę miasta, za zbliżeniem się łodzi powitali przybyłych głośnym okrzykiem. Kapitan okrętu z całym ekwipażem i wszyscy podróżni byli na pokładzie.

Zdziwił się jednakże nie pomału komendant placu, postrzegłszy łodzie, na jednej z których rzeczy oficerów polskich były złożone. Chodźko mu powiedział, że nie wątpił o dobrych chęciach rządu dla legii i dla tego kazał sprowadzić łodzie. — Odpowiedział z uśmiechem: *Uprzedziłeś pan nasze życzenia najszczerwsze dla zamiarów legii polskiej.* Nietrudno było postrzedz, że rozkaz gubernatora wypełniał z musu; o czem Polacy w ciągu późniejszych z nim stosunków przekonali się jeszcze mocniej.

Kiedy legioniści nasi wsiedli na łodzie, majtkowie Périclesa zapomniawszy o subordynacyi, witali ich okrzykami, do ich życzeń głos wszystkich podróżnych łączył się. Chodźko kazał rozwinąć chorągiew; u stóp orla srebrnego zawiązana była szeroka wstęga kolorów rewolucyjnych włoskich czerwony, zielony i biały.

Tą samą drogą jaką już jechał Chodźko, szli legioniści.

Pokazał się i Torres, który przy odjeździe Chodźki na wezwanie gubernatora już nie był na okręcie. Przy-

jaciel ten Guerazzego, niedługo wystąpi na scenę, i poznasz go droga pani do końca.

Polacy szli sekcjami przez główną ulicę miasta, na której głuche panowało milczenie, strzelanie ustało. Pozamykane domy i ich okienice; gdzie niegdzie tylko kilku ludzi rozmawiało cicho, pytali się jedni drugich: co to są za ludzie? — jakie to wojsko? — Czy z ludem, czy przeciw ludowi?

Jenerał Torres odpowiadał i tłumaczył: *Są to Polacy, których on prowadzi do Wenecyi, zatrzyma się dni kilka w Livorno, aby się uzbroił i powiększył swoje siły ochotnikami z miasta. Jeżeli lud będzie potrzebował ich męstwa, on z nimi wystąpi za sprawę ludu.*

Oficerom W. księcia mówił prawie toż samo, z tą jednakże różnicą, że Polacy są gotowi sprawę rządu popierać.

Cipriani przyjął legionistów polskich przed bramą pałacu i wszystkich do olbrzymiej sali na dole wprowadził i w imieniu W. księcia witął.

Chodźko mówił w tej treści:

„Opuściliśmy Francją dla wylądowania do Genui, z kąd chcieliśmy się udać do Vercelli, gdzie stoi główna chorągiew legii. Nieporozumieniem, którego Polacy zgłębiać nie chcą, władze Genui ich nie przyjęły. Przybывая do Livorno i proszą o gościnność. Najpierwszém prawem do niej Polaków, jest wspólność sprawy w wojnie z Austryą, pośredniem jest zwyczaj odwiecznej gościnności narodu polskiego, gdzie domy stoją otworem, gdzie na drogach prowadzących do mieszkań ziemian trawa nie rośnie nigdy. Polacy proszą o kilka godzin gościnności, po upłynieniu których udadzą się, gdzie ich powinność woła.

Przeznaczono wspaniały teatr *San Marco* na ko- szary polskie — ofiarowane *dwa powty* (2 złp.) na ka- żdego legionistę i pieniądze stósownie do stopni dla oficerów; Polacy nie przyjęli. *) Żywność odebrali z wdzię- cznością. W lożach teatru urządzono natychmiast po- słańie mieszczące po trzech w każdój, wyniesione ławy z parteru otworzyły ogromną salę, gdzie legionisci mo- gli się zgromadzać w czasie dnia, druga sala na pod- wyższeniu, z której powynoszono płótna teatralne, słu- żyć miała za salę jadalną. Oficerowie zajmowali łoże niższe, komendantowi otworzono mieszkanie dyrektora teatru, z którego okna wychodziły na scenę.

Działo się to dnia 9. Września. Ku wieczorowi gubernator Cipriani przyszedł do teatru w cywilném ubraniu. Spodziewał się nocy burzliwej. Niedługo po gubernatorze wrócił komendant placu z wiadomością, że lud się znowu gromadzi, że nowe robią barykady, zapytywał: czyliby Polacy nie chcieli wziąć broni i ła- dunków, szczególnie, że jutro z powodu rozruchów wyjść z miasta nie będą mogli, że młodzież tymczasem mogłaby się ćwiczyć, że nareszcie obrona osobista wymaga pe- wnych ostrożności i t. p.

Zrozumiał Chodźko, gdzie szanowny pólkownik mierzył, ale mu tego nie pokazał, po rozmowie z ofia- rami na osobności, wrócił do komendanta i oświadczył: że broń przyjmuje, a jeżeli jutro nie będzie mógł opu- ścić miasta, użyje ofiarowane ładunki na strzelanie do celu, i że w takim razie będzie go prosił o wskazanie

*) Nie pochodziło to przecie z zamożności: kassa albowiem legionistów po opłaceniu łodzi składała się z 28 franków. Ale Chodźko znał Włochy, wiedział, że za żywność i kwatery nigdzie płacić mu nie przyjdzie.

stósownego na to miejsca. Komendant jaśniej tłumaczyć się nie chciał, w pół godziny po jego wyjściu przyniesiono bron pistonową dla wszystkich legionistów i po sto ładunków dla każdego; Polacy urządzili natychmiast służbę i zaciągnęli wartę. Komendant placu zostawił hasło nocne; cała służba legionistów podczas nocy ograniczała się do dwóch szyldwachów przed teatrem, których co dwie godziny oficer służbowy zmieniał, dwunastu czuwało w wielkiej sali przy ustawionej w kozły broni, nad którą do środkowej łoży na pierwszym piętrze umocowana jaśniała chorągiew. Ładunki złożono do rąk administratora teatru; Polacy własnego bezpieczeństwa bronić kulami nie potrzebowali, zasłaniała ich dostatecznie cześć jaką mieli u narodu.

Warta stojąca przy drzwiach odebrała rozkaz występowania przed oddziałami przechodzącego wojska, a gdyby lud zwycięzki przyszedł w te strony, wejścia do teatru mu nie bronić, osób pojedynczych nieznanym nie wpuszczać bez uwiadomienia dowódcy warty.

Zastawiono sowitą wieczerzę i tyle nanieśli wina, że trzy części jego trzeba było uprzątnąć. Czuli to dobrze legioniści, że położenie ich wymagało baczności nieustannej. Kilkunastu żołnierzy z dawniej służby, pomiędzy którymi byli nałogowi pijacy, użyto do pierwszej służby i oddano ich szczególniejszej opiece oficera służbowego.

Kiedy legioniści siedzieli za stołem przy wieczerzy, przyszedł Torres z jakimś francuzkim oficerem z legionu zagranicznego w Algierze. Ostrzegał on Chodźkę na osobności, że oddział polski jest w najgorszej opinii u ludu, że widziano broń i ładunki przyniesione do teatru; że nie pozostaje innego środka do wyjścia honorowego z téj katastrofy, jak przejść otwarcie na stronę

ludu, że on, (Torres) umocowany jest od naczelnika ludu do traktowania z Polakami, i że nareszcie, jeżeli Chodźko nie przystanie na żądanie ludu dobrowolnie, on się rozmówi z młodzieżą i z teatru ich wyprowadzi.

Chodźko na całą odpowiedź wziął go za rękę i wprowadziwszy do sali, głośno powiedział:

— „Pan ten, któremuśmy dali przytułek na okręcie, i z którym dzieliliśmy się chlebem i bratniem sercem, przychodzi nam urągać i w imie ludu rozkazywać — grozi, że dowódcę waszego złoży z urzędu — do was należy odpowiedzieć, jak przystało na Polaków i na żołnierzy wiernych chorągwi swojej.“

Powstał szmer okropny — za drzwi z nim! — krzyczeli niecierpliwie.

Torres nie zraził się łatwo, wskoczył na ławę i głos zabrakł w języku francuzkim w tej treści:

Że komendant Polaków nie rozumie położenia, w jakim się znajduje w Livorno, że naraża braci swoich, powierzonych jego pieczy na rzeź niezawodną, na śmierć bez sławy, że mniemaniem ludu jest, jakoby tenże komendant młodzież polską przeciwko ludowi uzbroił, że gubernatorowi Cipriani dał słowo, że stronę w. księcia popierać będzie..... kiedy tych słów domawiał, jeden z legionistów porwał go za piersi i z ławy na ziemię rzucił — gdyby nie przytomność oficerów i szybkość nóg jenerała mówcy, byłby zuchwałość swą drogo zapłacił.

Nie obeszło się przecież bez głośnego szemrania pomiędzy naszymi — żądali niektórzy wyjaśnienia rzeczy — dowodzono, że zarzut zdrady nie był ugruntowany i t. d. W odpowiedzi na gotujący się sejmik, któremu koniecznie należało położyć tamę, oficer służbowy zawezwał do apelu i odczytał rozkaz dzienny:

Wszyscy mieli udać się na spoczynek, ale się nie rozbierać — na pierwsze hasło być w pogotowiu. Warty nie miały wypuszczać nikogo z teatru. Ale przy apelu brakowało sześciu, pomiędzy którymi 4rech Francuzów. *)

O dziewiątej wieczór rozpoczęło się strzelanie z ręcznej broni — niedługo zagrzmiały na rynku działa. Co kilka minut przychodzili mieszkańcy z uwiadomieniem o postępie rewolucyi.

Kiedy się młodzież układała w łóżach i cichość panowała w teatrze, Chodźko wyszedł na miasto z kapitanem Hanke. Na placu *di Duomo* natłok ludu i wojska, walka bezładna; prawdziwa rzeź — wojsko z bagnetem w rękę ścisnęło massy bezbronne i w ciasne ulice wpierało, wśród których lud się rozsypywał i w jednej chwili zgromadzony znowu ku placowi pędził — wówczas dawano ognia z dwóch dział stojących przed pałacem gubernatora; a lud uzbrojony jedynie w długie noże, na wojsko rzucał się i przez szeregi, które mu tył zabrały, drogę torował.

Nie dochodząc do placu, na stronie prawej kościoła katedralnego podnosiła się ogromna zaporą układana z czołen napęcznionych ziemią i kamieniami — pomiędzy tłumem pracującym przy świetle pochodni błyskały amaranrowe konfederatki. Niemałe było podziwienie Chodźki, kiedy postrzegł Francuzów swoich zajętych najgorliwiej robotą. Francuzi najslawniejsi architekci barykad, uczyli tej sztuki Włochów. Ale nie tu było miejsce legionistów. Na zawołanie przybyło trzech natychmiast i uznawszy błąd swój, wrócili do teatru, oddając się na noc

*) Przyłączyli się oni do legionistów na kilka dni przed odjazdem z Marsylii.

całą pod wartę. Czwarty zagrzany winem, powiedział, że on jako republikanin broni swoich opinii wszędzie, że barykady, której budowaniu przewodniczył, nie odstąpi, a nawet życie swe w obronie jęj postawi. Konfederatki nie miał na głowie, na zapytanie gdzie ją podział? odpowiedział, wskazując na chorągiew olbrzymią uwiązaną do galeryi niższej katedry, na igle chorągwi wisiała konfederatka polska — Francuz z dumą mówił: *Lud czapkę frygijjską zrzucił i na jęj miejscu polską zawiesił, jako godło dzisiejszej republikańskiej dążności. On tu honor polski i legii reprezentuje.* Lud go otaczał uległy jego rozkazom *mimicznym*. W godzinę później barykada była już ukończona zupełnie i budowniczy nasz dotrzymał słowa, zginął śmiercią walecznych — kartacz ugodził go w środek piersi: nazywał się on Felix Robert, rodem był z Paryża, lat miał 19, z profesyi snycerz.

Nazajutrz o czwartej godzinie rano już wszystkie twierdze Livorny i całe miasto było w rękach ludu. Cipriani z wojskiem ustąpić musiał. Otoczony w pałacu swoim, zaledwie umknąć zdołał przebrany — przed ucieczką dał rozkaz wojsku rejterować. W rozpacz swęj zapomniał, co był winien honorowi swemu jako Włoch — skrył się na fregacie angielskiej ze sztabem; zbiegów odesłano czołnem angielskiem do Pizy, z kąd się do Florencyi dostali. Hamilton, ambasador angielski ofiarował mu po kilka razy wojsko królowej stojące na fregatach, ale przyjąc go nieośmielił się: byłby to krok nietylko niepolityczny, ciągnący za sobą konieczne nieszczęścia, ale haniebny; po dokonaniu tęj zbrodni Cipriani byłby widocznym zdrajcą kraju, za jakiego nieśluszenie go Guerrazzi i Torres głosili. Kto widział rewolucye europejskie, a szczególnie we Włoszech, nie

będzie skory w sądzeniu ludzi. Położenie gubernatora było okropne; postawiony między rewolucją, w której zgubę dla przyszłości kraju swojego widział, a urzędem swoim jako reprezentant księcia, w którego dobre chęci wierzył, aż do ucieczki na fregatę angielską czynił sumiennie. Władzy Guerrazzemu ustąpić nie mógł dobrowolnie, bo dałby powód Austryakom do wkroczenia i w takim razie pierwszy Guerrazzi oskarżyłby go o zmowę z nieprzyjacielem. Dzisiaj Livorno zwyciężkie, wziął na swoją odpowiedzialność Guerrazzi. — Cipriani po przybyciu do Florencyi, błagał w. księcia, aby mandat gubernatora Guerrazzemu posłano; aby tym sposobem uniknąć opieki Austrii, która już przysłała generała swego z ofiarowaniem pomocy. Jakoż istotnie 5. września Guerrazzi na urzędzie, który w imie ludu uzurpował, potwierdzony przez Leopolda został.

Po ustąpieniu wojska, Torres w ratuszu przez Guerrazzego ogłoszony był generałem — dowódcą siły zbrojnej.

O dziesiątą rano przybył do *San Marco* adjutant Torresa z pismem do komendanta Polaków. Był to rozkaz wystąpienia zbrojno oddziału na placu *di Duomo*, z kąd Polacy po odbytym przeglądzie przez generała, udadzą się na wały i zajmą bastion B.

Chodźko dał do odczytania adjutantowi rozkaz jego naczelnika i odpowiedział ustnie, że: komendy generała nie uznaje nad sobą, że rozkazy jedynie od urzędu legii przyjmuje, że jest tu gościem z braćmi swojemi — że jedynie rozkaz ustąpienia z miasta od generała Torresa skuteczni bez zwłoki.

— Dla czegoż pan przyjąłeś broń i ostre ładunki od gubernatora podczas rewolucyi?

— Komendant placu, z rąk którego przyjęliśmy broń, odpowie generałowi na to pytanie, a ładunki ostre złożone są w ręku administratora teatru. Przekonaj się pan sam i powiedz generałowi, jaki użytek robimy z broni (pokazał na młodzież polską, która odbywała mustrę kompanii na dolnej sali teatru).

Po oddaleniu się adjutanta — Chodźko dał rozkaz ściągnięcia warty i otworzenia wielkich drzwi teatru. Lud tłoczący się na ulicy, napełnił natychmiast salę. — Owacye i okrzyki zwykłe rozpoczęły się, zwyczajem krajowym znoszono jadło i napoje. — Lud chorągiew rewolucyi obok polskiej zatknął.

Mówiono ze wszystkimi o treści odpowiedzi, jaką dał Chodźko adjutantowi Torresa:

Jesteśmy u was gośćmi, spieszymy do chorągwi naszej, — walczyć tylko będziemy z Austryakami, do waszych kłótni osobistych domowych, mieszać się nie możemy.

Za odpowiedź krzyczano:

Niech żyją Polacy, — niech żyje Rzeczpospolita Włoch!

Utrzymanie subordynacyi ścisłej było niepodobnem niektórzy śmiało występowali ze zdaniem, że Chodźko źle czyni, nie łącząc się z rewolucją, że źle robi, nie wypełniając rozkazu Torresa — robiło się zamieszanie. Znalazł się oficer jeden z dawniej służby, który rozdwojenie śmiało szerzył. Chodźko go napomniiał, radził mu, aby się rozmyślił nad tem co czyni. Oficer był mocno zagrany winem, napomnień nie przyjął; aresztowaniu sprzeciwił się, a kiedy za danym rozkazem wzięty był pod straż i zamknięty do jednej z łóż, wystąpiło czteremastu w obronie jego, oświadczając, że się pod komendę Torresa oddają. Chodźko kazał wszystkich uwieźć, dając im czas namysłu do wieczora, po czém jeżeli się nie

upamiętają, pójdą gdzie się im podoba — ale najprzód za uchybienie chorągwi karę odnieść powinni. Pomiedzy buntownikami trzech tylko było młodych ochotników dobrej konduity, których wszyscy żalowali, i którzy po kilku dniach wędrówki wrócili na swoje miejsca, inni wszyscy bez wyjątku byli ludzie już w pewnym wieku, złego życia, lubownicy gry i trunku, z oddalenia się ich większość była uradowana.

Wypuszczono więźniów o czwartej po południu, o piątej wynieśli się z teatru, gdzie im już wstęp był zabroniony. Pierwszy krok jaki zrobili, polecał ich usposobienie: udali się do komendanta placu po zasiłek pieniężny, za instancją Torresa dano im po kilka złotych, oburzenie na krok ten pomiędzy legionistami było powszechne.

Przy schyłku dnia Torres objeżdżał z nowo uformowanym sztabem swoim strażę miejskie; widząc drzwi teatru *San Marco* otwarte i gromady ludu na około i wewnątrz, zatrzymał się, ale żadnych zapytań nie czynił — do teatru nie wszedł.

Komendant placu pomimo rewolucyi tryumfującej, został na swoim miejscu, równie jak wszyscy inni urzędnicy. *Guerrazzi* chciał tylko wysadzić *Ciprianiego* i sam stanowisko jego zająć, *bo go lud Livornu nie nawidził*. Zostawiając wszystkie pomniejsze urzędy na swoim miejscu, chciał pokazać swe umiarkowanie, a tém samém łatwość traktowania z sobą. O dziesiątej godzinie wieczorem ogłoszono proklamacye o wrócenie do domów, o uspokojenie się umysłów, o złożenie broni, o oddanie straży bezpieczeństwa miasta i twierdz gwardyi narodowej.

Lud przecież noc całą obozował na ulicach i rynkach — o północy *Torresa Guerrazzi* z urzędu złożył. Wieść ta przyszła do *San Marco* w samą porę, niecierpliwa i niedoświadczona młodzież nie pojmowała rzeczy, burzyła się. — Kilku stronników *Torresa* szeptali im do ucha: *Lada chwila wy i komendant wasz za nieposłuszeństwo generałowi będziecie surowo ukarani*. Wieść tę przyniósł komendant placu, zawsze układający się podług okoliczności; uwielbiał on postępowanie Polaków w obec tak trudnych okoliczności, głośno *Torresa* intrygantem nazywał. Młodzież zaczęła rzecz przeziierać, cisnęła się z zaufaniem około starszych i przepraszała za lekkomyślność. Powiadano im, że jeszcze niebezpieczeństwo nie minęło, że jeżeli z *Torresem* rzecz skończona, są tu jeszcze do przebycia liczne zawady.

Torres przecież pomimo upadku swego, z miasta jeszcze nie ustąpił ni ze swoich pretensyi. Wiedział on to dobrze, że naczelnictwo jego było śmiesznością w obec potęg austriackich, które o dwa dni drogi stały i w obec samego nawet W. księcia, który gdyby chciał szczerze, w kilka godzin mógłby tę rewolucyą uśmierzyć. *Torres* zresztą był zanadto tu znany, przyjaciół nie miał, znano go jako człowieka niepospolitych zdolności literackich i nawet wojskowych, ale intryganta, któremu w złej chwili drogi proste nie zdawały się najlepszymi. Od wyjazdu z Marsylii miał on swój plan ułożony, widział on moralną potęgę Polaków we Włoszech, czuł to dobrze, że stanąwszy podejściem na czele téj młodzieży, był on na drodze do wszelkich pozycji; w Wenecyi, którą miał na celu, byłby przyjęty jak zbawca.

Oprócz niepowodzenia, jakiego doświadczył w intrygach o przeciągnięcie legionistów na swoją stronę

w znaczniejszej liczbie, szanowny generał miał także na zawadzie do planów swoich zupełny brak pieniędzy; chciał on je zdobyć podczas urzędu *dwudziesto-czterogodzinnego* w Livorno, ale kwitów jego Guerrazzi nie kazał wypłacić i o to się najprzód skłócili.

Pomimo rewolucyi dzienniki wychodziły w Livorno; Torres po kłótni z Guerrazzim, która się wydalaniem jego skończyła, napisał w *kuryerze Livorneńskim* wieczornym odezwę do mieszkańców, jako dowódzca oddziału Polaków stojących w *San Marco*; wyliczył zasługi swoje w czasie rewolucyi, prosił, aby mieszkańcy Livorny wywodzili mu się składkami pieniężnymi, których on potrzebuje dla uzbrojenia i umundurowania Polaków; na ten cel przeznaczają na zgromadzenie salę ratuszową (która dzień i noc stała otworem od chwili rewolucyi) gdzie sami Polacy przeznaczeni na to, składki te odbierać będą *)

Pocziwy i godny nasz przyjaciel *San Martini* przybiegł o dziesiątej wieczór z dziennikiem wzmiankowanym, zapytując u Chodźki co to znaczy? rzecz była jasna. Chodźko natychmiast posłał przez kapitana Hanke odpowiedź do kuryera Livorny, z listem do naczelnego redaktora. List i artykuł wyszły nazajutrz w ranniej edycji kuryera; redaktor od siebie dołożył słowa pełne wyrzutów Torresowi, który dopełnił *świętokradztwa*, mieszając Polaków do intryg swoich, popełnił zbrodnią, nadużywając dobrej wiary redaktora naczelnego.

Chodźko odpowiedział krótko — napisał prawdę, od Marsylii do Livorno stosunek swój z Torresem. Upraszał żeby: *żadnych składek dla Polaków nie czy-*

*) Trzeba wyznać z boleścią, że znalazło się dwóch łotrów, którzy się na ten krok zdecydowali.

niono — że oni ich nie przyjmą, że nareszcie generał Torres rzecz prowadzi na swoją odpowiedzialność. Polacy nie idą do Wenecyi, ale do chorągwi swojej, która stoi w Vercelli. — Mieszkańcom Livorny i urzędowi jej za gościnne przyjęcie oświadczają swe podziękowanie.

Od samego rana teatr San Marco był przepełniony ludem. Obywatele miasta przychodzili oświadczyć zadowolenie swoje z tryumfu, jaki odniosła dobra sprawa nad intrygami Torresa. — Torres o godzinie dziesiątej ranniej opuścił miasto, Polakom którzy mu zaufali, kazał iść do Bolonii, gdzie miał na nich oczekiwać; ale słowa nie dotrzymał, — do Wenecyi wprost udał się. Mniewskiego, *) który mu najczynniej do rozdwojenia Polaków dopomagał, zostawił z dwunastu oderwanymi własnym losom. Szli oni wiernie do Bolonii, niosąc włoską chorągiew, ale nikt się do nich nie przyłączył; do Bolonii weszli tylko w liczbie dziewięciu, z kąd im wyjść rozkazano natychmiast; czterech, jak już powiedziałem, wróciło do legii. Krok ten pełen płochości, przez wzgląd na niedoświadczenie i na miłość, jaką mieli u braci swoich, przebaczone im, w czasie dali dowody najlepszego usposobienia, wierności zasadom legii i niepospolitego męstwa.

Drugiego dnia młodzież nasza zapomniała o zawa-
dach, jakie zwycięzko przebyła. Prawie wszystkie go-
dziny dnia zajęte były instrukcją z bronią; wieczorem przy
odgłosie trąby śpiewano narodowe hymny, dumy Ukrainy
posępne. Najwyższą galeryą teatru każdego wieczora
napelniały kobiety różnych stanów i ukryte w ciemności

*) W kilka miesięcy później rozstrzelali go Prusacy, poj-
mawszy w Badeńskim.

przysłuchiwały się śpiewom północy. Często zapominały się w uniesieniu i rzesiste dawały oklaski. Młode i piękne głosy legionistów uroczu odbijały się od sklepień olbrzymiego gmachu. Po śpiewach następowały niekiedy i tańce; mazur Dąbrowskiego rozpoczynał i zamykał każdą ich zabawę.

Tak pięć dni upłynęło od przybycia Polaków do Livorno, a jeszcze opuścić miasta było niepodobno; co dzień o ósmej rano przychodził komendant placu z zapytaniem, czyli czego nie brakło Polakom? z prośbą, aby jeszcze dni kilka zatrzymali się w mieście, gdzie ich lud tak chętnie widzi; utrzymywał, że wyjście legionistów mogło nowe wzniecić zaburzenia.

Od samego początku rewolucyi włoskiej postępowanie Karóla Alberta i władz z jego ramienia, przekonały gruntownie wielu Polaków o nieszczerości króla. Chodźko nie tał przed bliższymi sobie Polakami i przed Włochami wstrętu, jaki czuje do rządu Turyńskiego. Mówił otwarcie Ciprianemu i innym urzędnikom, że gdyby Opatrzność otworzyć raczyła nowe jakieś stanowisko niepodległe dla legii, gdyby konwencją Medyołańską rząd jaki przyjął publicznie i uroczyście, Polacy prosiliby przewodnika naczelnego, ażeby dał upoważnienie do przeniesienia chorągwi z Piemontu, gdzie cięż jej nie umiano. Potwierdzeniu konwencji minister sprzeciwiał się, jakkolwiek urzędownie z Siodółkowiczem jako z *zastępcą komendanta legii polskiej* znosił się, a Kaminskiego rannego za komendanta uznawał, i pensyą mu płacił. Szanowano pozory, ale rzecz była widoczna, że stanowisko legii nie było pewne ni świetne w Piemoncie. Położenie krytyczne legii pogorszały intrygi w Turynie Polaków, którzy legią koniecznie rozrzucić po pułkach

włoskich usiłowali. Siodółkowiec ze wszystkich stron oblegany i kuszony pensją dożywotnią za odstąpienie chorągwi, dotrwał wiernie na swoim stanowisku, ale walka ta zabierała czas i niszczyła siłę moralną legii. Rząd Turynu nie tylko, że nic nie czyni dla powiększenia legii, ale dzisiaj odepchnięciem oddziału Chodźki dowiódł, że wcale jej nie pragnął. — Wydobycie legii z Piemontu jest jedynym środkiem otworzenia dla niej nowego pola życia i wzrostu.

Na tém dziś zakończę — za dni kilka dalszą relacją wypadków droga pani odbierzesz z klasztoru Kartuzów (Cartoso), dokąd dzisiaj wyjeżdżam i kilka dni zabawię dla wypoczynienia.

M. † † †

L I S T V.

Certosa, d. 2. Października 1848.

W okolicach czarownych Florencyi, jedno z najpiękniejszych miejsc jest Certosa — kościół i klasztor kartuzów zbudowane (w drugiej połowie XVI. stulecia) na wyniosłej górze. U podnóża jej rozciągają się zielone sady jak zasięgnie oko; aż do granitowej zapory gór, aż do wybrzeży morskich. Pośrodku widnokregu płaszczyzny, ojczyzna Michała Anioła, ojczyzna Alfieriego, ojczyzna arcydzieł — Florencya! Ze środka tysiąca wiź jaśniej w ogniu promieni dziennych wieża katedry, połyskująca różnobarwą szatą mozaiki marmurów; jak piękna królowa wschodu w gronie swych dziewic, cudnemi barwy drogich kamieni opasana w koło — ale zimna, i na jęk ludu nieczuła, patrzy wieczyste w niebo!

Z okna gotyckiego wieżycy obróconej w stronę miasta, poglądam na te cuda przyrody, na arcydzieła nieśmiertelne sztuki. Gdyby nie ta *najmilsza*, której

szukając ojcowie nasi, wędrowali zbrojno aż gdzie najdalsze krańce świata, dla której i nam już Opatrzność tyle pozwoliła wycierpieć, gdyby nie ten głos sumienia, który nakazuje cierpieć jeszcze, a może i zginąć, jak zginęli ojcowie; tu resztę żywota przepędzić, byłoby pragnieniem duszy — tu samotność uroczą zmordowane życie dla żywota lepszego sposobi. Tu jakby we śnie, jakby przypomnienie odzywa się słabe odgadywanie prawdziwego szczęścia, za którym gonić po ziemi napróżno!...

Mieszkam tu od dni kilku i dopóki będę mógł bez ubliżenia obowiązkom moim, zostanę. Jest to ustron tak czarowna, tak pełna uroku dla znużonej duszy, dla spracowanego ciała, że przylega, można powiedzieć, do istoty moralnej człowieka, jak maść żywiczna do kory chorego drzewa, jak podzielone czucie do duszy, ożenione z duszą dobrego człowieka.

Samotność! przerywana jedynie szmerem modlitwy starców, która jak odległy wodospad uderza wędrowca ucho. Żywot ich pracą i modlitwą dzielony na poły przechodzi w milczeniu. Płynie w milczeniu spokojny i jednostajny, idzie biegiem planet około słońca swojego w okrąg niedościgłej wieczności, gdzie wszystkie ich żądze spoczęły! Ten, komu zamknięto wszelkie drogi służenia bliźnim swoim, kto oddał ziemi wszystko, co kochał na ziemi, ten ma prawo ostatnich dni kilka tu przepędzić; przed wiecznością uciec w objęcia wieczności. I tym, którzy w kwiecie życia w pracowni wyższych celów zmordowani, oddalenie się chwilowe od ludzi wielkiem jest dobrodziejstwem. Samotność odstłoni im skarby sił nowych. Dusza otworzona przed Bogiem, pozbędzie się wrażeń szkodliwych niższego świata, które są zaporami na drodze do wyższych celów. Człowiek

urośnie w męża i nowemi bogaty skarby, stokroć silniejszy pójdzie na nowe boje, odrodzony zwycięstwo prawdzie przyspieszy.

W ostatnim liście moim opowiedziałem drogiej pani położenie legionistów naszych w Livorno aż do potwierdzenia urzędownie Guerrazzego na gubernatorstwie i do ustąpienia z miasta jenerała Torresa.

Listy, które Chodźko odbierał od przewodnika naczelnego z Paryża i od Siodońkowicza z Vercelli, małowały położenie coraz trudniejsze legii w Piemontcie. Minister wojny intrygom partyi monarchicznej polskiej sprzyjał otwarcie. Rozdwojenie podniecane przez przybywających Polaków z Turynu, rodziło codzienne waśni, kończące się niekiedy krwią; żołnierze starzy zaczęli się rozłazić; kilkunastu z nich w Livorno połączyło się z oddziałem nowo przybyłym. Jeden z oficerów, który przez cały ciąg kampanii był w obozie San Antonio przy legii, przybył także do Livorno. Przedstawiał opłakany stan legii w Piemontcie. Młodzież tylko stała wiernie przy chorągwi, którą z Rzymu z Mickiewiczem przyniosła, pozostała wierna symbolowi przyszłości narodowej, tak genialnie i sumiennie skreślonej.

Tymczasem kolój żelazną idącą z Livorno do Pizy lud w wielu miejscach popsuł, dowiedziawszy się, że wojsko W. księcia tam się gromadzi, że na Livorno ma uderzyć; tam wszyscy źle widziani przez lud skryli się; uważano albowiem Pizę oddaną duszą i ciałem staremu porządkowi rzeczy.

Guerrazzi objął rządy w Livorno, widywał się z nim niekiedy Chodźko, ale stosunki Polaków z nowym rządem były codziennie zimniejsze. Uczucie narodowości wszelkiej, uczucie wyższych zasad, uczucie poświęcenia się

i prawej mocy, ma kamień swój probierczy na tle duszy polskiej; jak złoto na gładkim kamieniu rysuje się czucie narodu i człowieka na duchu polskim. Kto Polskę czci, kto dla myśli jej rad się poświęca, naród czy człowiek są przyjaciółmi rzeczywistymi — sprzymierzeńcami wolności — i przeciwnie. Francya, co tak głośno okrzyczała pobratymstwo swe z umęczonym narodem, w złych chwilach ducha swojego odstępuje od siostry Polski, jak zbrodniarz od podwojów świątyni. A kiedy się ogień rewolucyi zapali w ich męźnej piersi, kiedy wystąpią ich dzielne hufce w obec wroga ojczyzny, lub w obec wrogów w ojczyźnie, pierwszy głos powitania, pierwsza pieśń tryumfu o Polsce — dla Polski!

Siódmego października postanowili Polacy wyjść z Livorno. Komendant placu uwiadomiony, przybieg do San Marco i zaklinał, aby się do dnia 10. zatrzymali, zaręczając, że W. książę jest najlepiej usposobiony dla Polaków i że legioniści (gdyby chcieli iść do Florencyi) będą najlepiej przyjęci. Tegoż dnia wieczorem przybył do Livorno Poniatowski Karol *) z uwiadomie-

*) Po śmierci Stanisława Augusta, brat jego stryjeczny wy-
niósł się do Rzymu i tam zamieszkał. Po kilkunastu latach po-
bytu w Rzymie na starość ożenił się i przeniósł się do Florencyi,
gdzie kilka pałaców i wielkie dobra w okolicach zakupił. Zostawił
trzech synów, Karola, Kazimierza i Józefa; pierwszy z nich tylko
zachował coś we krwi polskiego, na wspomnienie dawniej Polski
a szczególnie ostatnich czasów za księcia Józefa, lzy miewa
w oku. I jakkolwiek w duszy oddany wstecznemu porządkowi
i osobie W. księcia, rad Polaków widzi; bracia jego i trzy siostry
połączone z najpierwszemi tamilami Toskanii, nie mają w sobie
nic polskiego — gdyby nie tytuł książęcy i herb, wyrzekliby się
nazwiska. Józef w ostatnich czasach był ambasadorem Toskanii
w Paryżu — żaden z nich nie umie po polsku.

niem, że jutro (8. października) W. książę z ministrami i deputacją izb zjedzie do Pizy dla przeglądu gwardyi narodowej, że życzeniem byłoby W. księcia, aby Polacy przybyli do Florencyi, i jeżeli to być może, w służbie tokańskiej pozostali. Poniatowskiemu dano też samą odpowiedź, co i wszystkim w téjże materyi, a co do żądania W. księcia oglądania Polaków we Florencyi, Polacy chętnie na to przystaną pod warunkami:

1) Aby minister wojny *urzędownie* Polaków do Florencyi zaprosił.

2) Aby Poniatowski słowem honoru zaręczył, że konwencya Mickiewicza z rządem lombardskim (którą mu Chodźko w kopii doręczył) *może być przyjętą*.

3) Że minister wojny weźmie na swoją odpowiedzialność i na koszt państwa pochód Polaków z Florencyi do Piemontu, gdyby po dniach piętnastu warunki konwencyi lombardskiej przez rząd W. księcia przyjęte nie były.

Poniatowski odjechał natychmiast. — O jedenastój wieczór przybył kurier do San Marco z pismem ministra wojny, zapraszającym Polaków do Florencyi, i uwiadomieniem, że w Pizie znajdują oni obiad przygotowany, poczem przysposobionemi dla nich wozami parowemi tegoż dnia do Florencyi odjadą. Komendant placu we Florencyi miał rozkaz przyjąć *Polaków z honorami im należnemi*, i do koszar *del Uccello* zaprowadzić.

Dziwiątego października o godzinie 4tój rano oddział polski wyruszył z teatru San Marco; chociaż godzina tak ranna, zebrało się ludu niemało dla pożegnania. O ósmój upał był już okropny, szli jednak Polacy bez zatrzymania się i wszyscy pieszo, chociaż cztery powozy dla oficerów przysłane były na placu; złożono na

nie tornistry młodych naszych ochotników. Przyszli do Pizy o drugiej po południu utrudzeni okropnie i okryci kurzem; ale uczucie polskie przemogło nad złamaniem ciała; u bram miasta rozwinęli chorągiew i sekcjami szli ku placowi, na którym odbywał się przegląd wojska i gwardyi narodowej. Na placu uformowali się we dwa szeregi, i postawiwszy chorągiew we środku szyku, a oficerów na przodzie kolumny, stanęli. W. książę ze szlabem swoim jechał właśnie w tę stronę, przegląd był ukończony. Postrzegłszy Polaków o kilkadziesiąt kroków, zatrzymał się. Adjutant przyskoczył z zapytaniem: co to za oddział wojska? odpowiedziano: *Polacy z Livorno, na żądanie ministra wojny udający się do Florencyi.*

W. książę zbliżył się i przejeżdżając koło chorągwi, zdjął kapelusz; Markwart, chorąży polski uchylił lekko znamię, oficerowie i żołnierze prawą rękę przyłożyli do konfederatek. Adjutant księcia (półkownik) zsiadł z konia: miał rozkaz towarzyszenia Polakom aż do ich odjazdu.

Chorągiew schowano do pokrowca — i znowu sekcjami szli Polacy przez całe miasto po granitowém wybrzeżu Arno; lud Pizy nie okazał najmniejszego zadowolnienia; szeptanie tylko misterne wychodziło z tłumu, który szedł w około garstki naszej.

Po dobrym obiedzie siedli na wozy parowe i o 8miej wieczorem do Florencyi przybyli; gdzie komendant placu zaprowadził ich do koszar del Uccello — wieczerza była przygotowana. Oficerowie mieli zostawioném do woli, albo mieszkać w hotelach miasta na koszt rządu stosownie do stopni, albo pobierać pieniądze i nająć sobie mieszkanie, gdzie się im podoba.

Zaraz obok koszar był mały domek z ogrodem i w nim kilka pokojów do zajęcia, tam więc wszyscy oficerowie przenieśli się, aby nie oddalić się od braci swoich.

Ministrem wojny był Bellnomini, człowiek znaczny, i jakkolwiek trudno mu było poczuć i ocenić nowe usiłowania ludów na drodze rewolucyi, szczerze sprzyjał uczuciu niepodległości, które się wyrabiało w narodzie, i dla tego szczęśliwy był z przybycia Polaków do Florencyi. Poniatowski doręczył mu kopią umowy Mickiewicza z rządem Lombardyi; Chodźko podał mu projekt umundurowania legionistów: surdut granatowy do kolan na dwa rzędy guzików z orłami, kołnierz amarantowy po francuzku skrojony, rabaty amarantowe odsłonięte w czasie wystąpienia, szlify francuzkie amarantowe, pantalone jasno-niebieskie z wypustką amarantową, kaszkiet nowój-formy francuzkiej z orłem srebrnym, pod laurem otaczającym go napis: *Legione Polacca in Italia*. Na białym pasie ładownica posuwana, zapięta dużą klamrą złotą z orłem białym. Dla oficerów ozdoby srebrne — orzeł na kaszkiecie z dziobem i szponami złotymi, rymgraf złoty z orłem srebrnym bez korony; do pałaszów pasy srebrne na wystąpienie, do służby zwyczajnej czarne lakierowane, zawsze z klamrą złotą i z orłem srebrnym.

10. października Chodźko był przedstawiony przez ministra W. księciu, który, jakkolwiek nie stanowczego nie powiedział, zostawując całą rzecz ministrowi i po jego przyjęciu, radzie państwa; przecież nie tał tego, że byłby rad mieć Polaków w służbie tokańskiej. — Chodźko powiedział mu przy pożegnaniu, że jedynym celem legii założonej przez Mickiewicza w Rzymie, (a której część dziś we Florencyi znajduje się) jest wojna z Austryą, w której Polacy niepodległości własnej szu-

kają, że W. książę Toskanii wysyłając na ostatnią rozprawę wojska swoje, połączył się z nadziejami ludu włoskiego; że przyjęcie dziś legii polskiej pod opiekę swoją zrodzi mu miłość i cześć powszechną Italii. Że pobożne książę znajdzie w końcu w błogosławieństwie Bożem nagrodę dobrych swych chęci dla dzieci nieszczęśliwego narodu polskiego. W. książę był bardzo pobożny, co sobotę chodził do spowiedzi, Polakowi szczerze i ze łzą w oku mówiącemu odpowiedział: *Oui Monsieur le commendant, oui, les Polonais sont très braves, le monde les connaît comme tels!*

Polak oblany zimną wodą dyplomacji, ochłoniął z uniesienia chwilowego, przypomniał, gdzie był i z kim mówił.

Pomimo to minister Bellnomini Polaków zapewniał, że konwencya lombardska będzie przyjętą, byleby tylko mieli trochę cierpliwości; do téj nowości niesłychanej pod rządem *regularnym* trzeba było usposobić panującego księcia z austriackiego domu i cały szereg władz wykonawczych, które nawykły do rządu z woli bożej, zaledwie zaczęły się oswajać z nowo ogłoszoną ustawą konstytucyi.

Dwunastego października Polakom na ich żądanie przyniesiono broń; rano i wieczór młodzież ćwiczyła się na obszernym placu przed koszarami. W koszarach po mistrze kapitan Hanke wykladał teorią służby polowej i powinności żołnierza pod każdym względem.

Każdego dnia Chodźko widywał się z ministrem wojny Bellnominim, nagląc go o odpowiedź stanowiącą co do konwencyi; w radzie państwa punkta były dysputowane; przyznanie publiczne legii polskiej z chorągwią narodu i z prawem powrotu do ojczyzny zbrojno na *przypadek rewolucyi* trapiło nie pomału monarchistów.

Toskanii; wszyscy oni albowiem opierali się o tron Austrii — książęta i hrabiowie domu austriackiego — pralaci wypieczeni i wymustrowani po austriacku. Sam W. książę otoczony niemiecką służbą w barwie angielskiej — wielbiciel i najniższy sługa Anglii *liberalnej*, Hamiltonowi posłannikowi jej publicznie się uniżał. — Hamilton przeto był zapytywany o zdanie co do legii polskiej, powiedział: *starajcie się ich zatrzymać pod jakimi bądź warunkami: będą oni wam robić służbę Szwajcarów Neapolu, a jeszcze korzyść tę mieć będziecie, że Polacy osławieni sławą przeszłości swojej, stojąc dziś na czele pułków W. księcia Toskanii, przedstawiają go Włochom jako przyjaciela rewolucyi, którą ciż Polacy uśmierzą.* Radził Hamilton W. księciu i radzie państwa, ażeby przyjąć warunki i tworzenie legii rozpocząć, zabezpieczwszy się dobrze w tém: *Jak legia polska postąpi sobie w przypadku rewolucyi we Florencyi? — Władze W. księcia na słowie Polaków mogą polegać?*

Dwudziestego października Chodźko został wezwany do ministra wojny i o południu udał się z nim do pałacu Pitti, gdzie się zgromadzali zwykle ministrowie. W. książę był przytomny posiedzeniu, które (jak Bellomini powiedział) nie było zupełnie urzędowe.

Minister wojny w imieniu W. księcia i rady ministrów zadał takie pytanie:

Polacy przyjąwszy służbę w Toskanii, jak sobie postąpią w razie rewolucyi we Florencyi, gdyby lud zbrojny przyszedł oblegać pałac W. księcia, któregooby straż tegoż dnia minister wojny honorowi Polaków powierzył?

Jakkolwiek odpowiedź komendanta Polaków, którą zwykle daje: że: *w klótnie domowe legia mieszać się nie może i nie powinna, w razie jednakże takim legia*

dla własnej obrony musiałaby przeciwko buntownikom wystąpić!

Chodźko odpowiedział: W każdym razie legia polska odpowie szcзыtnemu powołaniu swojemu; że sumienne ma poświadczenie o tém, że miejsce to, gdzie Polacy będą na straży, lud będzie szanował — że Polacy w żadne koterye wplątać się nie dadzą, że nareszcie punktem ich oparcia w każdym wydarzeniu będzie konwencya, o którą tu rzecz idzie, że nareszcie W. książę robiąc wszelkie koncesyie ludowi, podobnego wydarzenia spodziewać się we Florencyi nie może.

— *Zapewne, ale w razie rewolucyi na placu Pitti, w obec W. księcia jakbyś pan sobie postąpił?*

— W każdym razie postąpią sobie Polacy jak im sumienie nakazuje, oprócz czci i powołania swojego innéj gwarancyi nie dają — raz jeszcze powtarzam, gdzie będą Polacy na straży, miejsce to lud uszanuje.

— *Na tém przestajemy rzekł W. książę.*

Powstali ministrowie i weszli za W. księciem do drugiego pokoju. Ballnomini odprowadzając do przedpokoju Polaka, powiedział mu: możesz pan oświadczyć braciom swoim, że: *konwencyą Lombardską przyjmujemy.*

Z wiadomością tą tegoż dnia wysłał Chodźko podoficera do Paryża i prosił Mickiewicza o dalsze instrukcye. Doprowadziwszy rzecz jak mógł najlepiej według własnego czucia i przy pomocy zdolnych i chytrych towarzyszy; potrzebował nowego zasilenia od Mickiewicza którego tchnieniem i trudem rzecz tak mozolną i od tak dawna prowadzoną była.

List ten dołączam do pism urzędowych, które wychodzą w téj chwili, aby tém pewniéj w Paryżu na pocztę był oddany.

M. † † †

L I S T VI.

Marradi (na granicy Romanii) 22. List. 1848.

Szczególne służby z młodzieżą naszą, instrukcja ich i umundurowanie zatrudniały nas codziennie tyle, że dzisiaj zaledwo mógłem przybrać się do pisania.

Dnia 10. października dopiero minister wojny otrzymał od rady państwa upoważnienie do podpisania konwencyi lombardzkiej, wraz z projektem umundurowania i uzbrojenia legii — o godzinie dwunastej tegoż dnia akt podpisany został przez ministra Bellnomini ze strony Toskanii i przez Chodźkę w imieniu Mickiewicza. Bellnomini po dokonaniu przedsięwzięcia tak mozolnego, szczerze się uradował; w koszarach del' Ucello cieszone się także; — położenie Polaków we Włoszech zależało znowu od ich prowadzenia się, jedynie od okoliczności, jakie Opatrzność nadarzy na drodze ich przeznaczenia. Polacy przysięgi żadnej wykonywać nie będą. *Rząd Toskanii ufa ich sumieniu, ich honorowi.* Na linii bo-

jowój będą czynić służbę na czele armii jako tyraliery, pobierają żołd gwardyi, oficerowie dostaną potrzebne pieniądze na umundurowanie się.

Powodem najgłówniejszym opóźnienia podpisania umowy, było przybycie do Florencyi niejakiego Francuza Pierry, majora z legii zagranicznej w Algierze; przeprowadził on ze sobą kilkunastu Francuzów, których włączających się w Piemencie zwerbował — przedstawił ich komendantowi placu jako zakład batalionu, który ma niedługo sprowadzić z Marsylii, — batalion ten projektowany do służby tokańskiej wcielić zobowiązywał się, jeżeli mu stósowne do téj usługi dadzą wynagrodzenie.

Punkta umowy podane ministrowi przez Francuza, zastrzegały jedynie stronę materyalną batalionu, chodziło im o większą płacę, o zastrzeżenie korzyści po upłynionych latach służby (zobowiązywali się na lat 5) o zapłatę za rany poniesione na przypadek wojny. Dziwnie od tych punktów odbijała konwencya legii, oparta jedynie na korzyściach moralnych; jeden dekret rządu nie mógł obejmować tych dwóch formacyi. Pierry i wielu z Włochów należących do rządu, a nieprzyjaznych legii, dociskali ministra, aby punkta Francuza przyjęli Polacy, że ubliżeniem byłoby *narodowi francuzkiemu*, aby Polakom przyznano tak widoczne korzyści — Polacy odpowiadali i odpisywali jedno: *Od konwencyi lombardzkiej, podpisanej przez Mickiewicza, przewodnika naczelnego legii, odstąpić nie możemy. Jeżeli rząd W. księcia Toskanii nie chce jej przyjąć, Polacy opuszczą natychmiast Florencyę.*

Konwencya p. Pierry podpisaną była na kilka dni przed polską; i dwa osobne ogłoszono dekreta w piśmiech urzędowych i na rogach ulic.

Polacy przybywali codziennie z Piemontu, pomimo przeszkód wszelkiego rodzaju, jakie im stawiał rząd sardyński, podniecany przez stronnictwo monarchiczne polskie. Przysłani oficerowie z Turynu (gdzie się znajdował Zamojski jako pólkownik i adjutant króla) po wielokroć urząd legii podchwycić chcieli; zjechał nakoniec Romarino (niby prywatnie) namawiając Polaków, aby *marzeń płonnych* o legii wyrzekli się — aby tymczasowego dowódcę swego Siodłkowicza odstąpili, aby weszli do batalionu polskiego, formującego się w Turynie, któremu Breański z ramienia księcia Czartoryskiego przeznaczony jest na dowódcę. Ale młodzież wierna chorągwi, dotrwała do końca, oparła się namowom, gardziła groźbami. Nie dała się nakłonić prośbom Witolda Czartoryskiego, młodego oficera Piemontu, który z dobrą wiarą (przysłany od wuja) ziomeków swych namawiał do łączenia się, *aby sił narodowych nie rozrywali!*

Kilkakrotnie Siodłkowicz pisał do ministra o paszporta albo o feldrutę dla legii, dla przepłynięcia z Genui do Livorno — pisał o udzielenie bezpłatnego przejazdu na okręcie rządu. Przyszło nareszcie upoważnienie do opuszczenia Piemontu; ale rząd rozdąsany na Polaków, kazał im wynieść się własnym kosztem — zostawić na ręce przesłanego oficera (Polaka) uzbrojenie i *umundurowanie* — umundurowanie, do którego rząd sardyński nie miał najmniejszego prawa, — Polacy ubrani byli kosztem rządu lombardskiego, założyli sownie ubranie to długą służbą i przelaną krwią.

Odarto przecież Polaków ze wszystkiego; — gdyby nie płaszcze, które posłano z Toskanii do Genui, legioniści znaleźliby się w najokropniejszym położeniu. —



Okręt zapłacono wysileniem prywatném samychże legionistów. —

Okropna boleść na samo wspomnienie klęsk, jakie sobie własną zadajemy ręką! Tyle już najszlachetniejszych przedsięwzięć rozbiło się o próżność i zawiść naszą! — Czyli nastąpi kiedy upamiętanie się?

28. października opuścili legioniści nasi *Vercelli*. — Pierwszy oddział z Roźnieckim przybył 1. listopada do Livorno — trzy pozostałe w dniach następnych. 5. paźdz. Siodolkowicz z całym oddziałem (160 ludzi) przyszedł do Florencyi. Dwudziestu zostało w *Vercelli*, wszyscy z dawniej służby i kilku oficerów.

Dziesiątego października wszyscy byli już zupełnie umundurowani.

Oddział cały podzielono na trzy kompanie. 11go legia otrzymała rozkaz udania się na linię pograniczną Toskanii z Romanją, i zajęcia *Marradi* i *Mogliano*, dwa miasteczka w górach okrytych śniegiem położone — patrole nocne z każdego miasta co trzy godzin wychodzące, spotykają się na pół drogi i po udzieleniu sobie tego nawzajem: co postrzegły, wracają do miasta. Służba ta męczy nas niemiłosiernie, ale wolimy ją jak bezczynność; bo zaprawia młodzież naszą do trudu wojennego. Ci, którzy robili pierwszą kampanią z wojskiem Piemontu, przekładają dzisiejsze stanowisko, w porze roku bardziej ciążu naszemu przystępnój. Dla ułatwienia służby dwom kompaniom stojącym w miastach, rozłożyliśmy trzecią po małych wioseczkach na górach; — dla przejścia z jednój do drugiej, musimy brodzić po śniegu aż do kolan; przypomina to nam dziecinne lata, tak drogie wspomnienia. Pomimo niewygód i trudu nie znamy chorób żadnych, a wesołość nasza zachwyca i zdumiewa biednych górali.

Dziwny kaprys przyrodzenia, co porzuciło ludzi żyjących pod jednem niebem w tak odmienne losy — o kilka mil u podnóża tych gór arcydzieła sztuki i przemysł miękki rozesały swe skarby zbytkowi i rozpuście — tu, na szczycie Apeninów zima siedzi z całą okropnością swoją i poniższym płaszczyznom urąga, na których człowiek kruche swe lepi mieszkanie, co lada powiew wiatru po tych skałach roztrąci.

Z tegoż samego źródła, z którego bracia nasi tyle ponieśli przeciwności w Piemoncie; formacya nasza we Francyi i wysyłanie ochotników do Marsylii doświadcza wielkich przeszkód. Przewodnik naczelny miał sobie ofiarowane 200,000 fr. na potrzeby legii; summy téj do rąk swoich przyjąć nie chciał — powiedział, że za kwitami będzie pobierał ze wskazanego źródła stósownie do potrzeb legii.

Stronnictwo monarchiczne (z téjże ręki i prawie w jednymże czasie) dostało także 100,000 fr. i zatrzymało tę sumę w kassie głównej — pieniądze te miały służyć na formowanie *legii we Włoszech*? posłużyły na rozbijanie jéj, na rozdawanie sił polskich. — Stronnictwo monarchiczne polskie nie poprzestało na intrygach knowanych we Włoszech przeciwko legii — w Paryżu dokazało tego, że fundusze ofiarowane i realnie należące jedynie do rozporządzenia Mickiewicza; owe 200,000 fr. (z których zaledwie 20,000 fr. na potrzeby legii zużyto) zostały *zatrzymane*. Po wysłaniu ostatnich oddziałów, Mickiewicz znalazł się w najkrytyczniejszem położeniu, wystawiony na nalegania młodzieży cisnącej się do Paryża, której wysłać i opatrzyć czém nie było. Sumieniu każdego zostawiamy sprawy jego w téj smutnej przygodzie — jak zawsze w podobném wydarzeniu ucier-

piąta głównie jeno sprawa ojczysta. Nieszczęsne zapomnienie się ludzi, którzy stoją pomiędzy ojczyzną a wszelkiem wysileniem narodu i człowieka jak zimna skała, i mówią szydlerczo: *przezemnie droga do ojczyzny!* Nieszczęsni zaślepińce, co na ołtarzach cielca zaguby, na ołtarzach przesądu i wieczystej narodowej niedoli palą ofiary swoje — panom ich i im samym przekleństwo należne hańbie i dumie — przyszłość Austrii ich przyszłością!

Pomimo uśmierzenia tak tragicznego rewolucyi lombardskiej, pomimo okropnych okrucieństw Austrii nad bezbronny lud Medyolanu, widocznie nowe jeszcze gotują się wypadki. Lud Rzymu jak wezbrane morze przed burzą wychodzi z łożysk swoich i napęlnia ulice. Wszystko co ludzką ma duszę, na papieża narzeka; głos powszechny od morza do morza, do Pireneów; on wywołał nadzieje nasze najdroższe, on na wojnę świętą zbroił nas i błogosławił, aby tém mocniej nieszczęście nasze ustalić. — Pius IX. załakł się przeznaczenia swojego, Bogu zaufać do końca nie chciał — pozazdrościł Italii szczęścia niepodległości, którego była tak bliską, a które on miał w swój woli.

Duch zaufania w opiekę Boga, której Pius był urzęczywistnieniem, uosobieniem; który napęlniał wszystkie serca, ustąpił; zemsta krwawa, ślepa i dzika zastąpiła miejsce zaufania błogiego w dobroć swój sprawy, którą pierwszy urząd na ziemi — urząd ducha opieką swą pokrzepia. Wszystko co żyje, co broń dźwigać dość silne, — wszystko co czuje, co myśli jednym zagrzone ogniem, naznaczywszy pierś pełną poświęcenia się za ojczyznę krzyżem świętym, stawalo do dzieła powszechnej krucjaty, wywołanej tylu czynami zastępcy Piotra

świętego. Gdyby dzień jeszcze jeden wytrwania, dzień zaufania w Opatrzność, która tak cudownie dopomagała do podniesienia się nad dawną jeszcze potęgę stolicy apostolskiej, podniesienia się i odrodzenia pod względem ciała i ducha, ujęcia tego nowego świata pełnego życia i miłości: Pius IX. byłby zbawcą Italii, zbawcą Polski, zbawcą ludów, prawym naczelnikiem kościoła Chrystusowego! Dzisiaj zbrodnią Rzymu odepchnięte miliony od komunii w Bogu i ojczyźnie wołają o pomstę; i pomstą jedynie krzepią się w niedoli swojej.

Znowu się napełniają podziemia ludźmi pełnymi poświęcenia się ale i nienawiści, nóż odrzucony w dniach nadziei poświęcenia się dla Italii (którą Pius i Albert zdradzili) wrócił do właściciela dłoni; na ulicach i rynkach Romy każdej nocy krew się przelewa. Konspiracja rozstawiła swe czaty. — Giovina Italia urąga urzędowi, który dawne wywołuje potęgi. Opuszczony od ducha narodowego Pius IX., znalazł się w położeniu najfatalniejszym; stał pomiędzy konspiracją potężną i nieubłaganą i pomiędzy zasadzkami dygnitarzy kościoła, którzy zasileni radą i złotem ambasad, rozsiewali nienawiść i trwogę; czuł, że dawną potęgą nie pokona rewolucyi już dzisiaj osobie jego nieprzyjawną, czuł również, że nowe siły odradzającej się Italii, które niedawno sam wywoływał, już inne ujęły dłonie. Stanął u kresu nicości swojej i wahał się w duchu niepewny, na którą przechyli się stronę. Czuł, że nieubłagani książęta kościoła nie przebaczą mu pierwszych uniesień, i że jego naczelnictwo nad nimi jest bezsilne; — a na dalsze prowadzenie ludu, który w pędzie zatrzymał, zabrakło mu ducha. — Nie wiedział, jak wyjść z tego niewygodnego stanowiska.

Na czele śmielszych sprzymierzców w wstecznego porządku stał dawny powiernik Ludwika Filipa Rossi; krew jego na wschodach marmurowych watykanu rozlana, zdecydowała ostatecznie Piusa, rzucił się w objęcia nieprzyjaciół ojczyzny. — Lud swój — miasto przedwieczne opuścił.

Józef Mazzini wygnaniec i męczennik od lat wielu, który w chwilach pomyślniejszych pracował w ukryciu, stanął na widowni wśród powszechnej rozpacz i niepewności i rzeczpospolitą rzymską ogłosił.

Głos Mazziniego obudził na nowo zapal Italię; jeżeli nadzieja pewna zwycięstwa nie napełnia serc, ale obudza się siła dawna, zaprawiona chęcią zemsty. Po całym wybrzeżu od Wenecyi aż do Genui przebiega odgłos rewolucyi — w Livorno lud zbrojny nie schodzi z ulic. *Montenelli* i *Guerrazzi* grożą Ferdynandowi i nowe żądania ludu ogłaszają. Na ich nalegania Leopold zmienia ministeryum i skład nowy rządu z rąk *Guerrazzego* przyjmuje. — Lud Livorny przybywa drogą żelazną (przeszło 500 wioślarzy i tragarzów), idzie z rozwiniętymi chorągwiami przed pałac W. księcia, niby dziękując mu za zmianę ministrów, a rzeczywiście grożąc mu i nakazując przyjęcie urzędowe rzeczypospolitej Rzymu, uczerzenie publiczne i urzędowe posłannika Romy. Leopold zalekniony przyrzekł wszystko, przez noc całą do podróży się gotował i o świcie potajemnie z familią i kilku zaufanymi uciekł do Pizy, zkąd na angielskim okręcie ku Neapolowi popłynął, pomnożyć orszak Piusa. Ucieczkę W. księcia ukartował i doprowadził do końca Hamilton, ambasador angielski. Na ostatniej naradzie w pałacu Pitti rzecz zajęcia przez austriackie wojska Toskanii

była przyjętą *pół-urzędownie*. — Ambasador Francyi Benoît de Changnier na tę umowę nie miał być wzywany.

Dajola nowy minister wojny, niby republikanin, w duszy nie sprzyjał Polakom. Legia z osobą zacnego swojego przyjaciela ministra Bellnomini straciła materialną podporę w tym kraju.

Dajola trzymał się ściśle słów konwencji przez poprzednika swojego podpisanéj; ale odrzucał to wszystko co objęte przyrzeczeniem słowném, można było przed nim uważać za nietykalne. Natychmiast po podpisaniu umowy, wysłany był do Paryża oficer z kilku podoficerami dla prowadzenia oddziałów polskich przez Marsylią do Toskanii, miały być posłane płaszcze dla ochotników siadających na okręta z Marsylii aż do Florencyi, koszta wziąć na siebie W. książę uroczyście zobowiązał się i najmocniej ministrowi polecił nie szczędzić niczego, coby organizacją légii przyspieszyć mogło. Po ucieczce Leopolda, Guerrazzi i Montenelli weszli do nowego rządu; po dopięciu najdalszych kresów dumy swojej, Guerrazzi na wstępie stracił sprężystość, która go uchowała jeszcze w Livorno. Dotąd na czele ruchu rewolucyjnego w Toskanii, dziś z po za plec Montenellego wygląda, gotuje sobie odwrót. Odezwy jego z Florencyi tracą co do uniesienia nawet obok odezw W. księcia. — Wojsko austriackie stojące gromadnie na romańskiej granicy, napełnia nowy rząd przerażeniem; obejrzawszy siły własne, przekonali się, że legia polska była całą ich ucieczką i obroną, ale legia polska zaledwie liczy trzy kompanie, kilka miesięcy drogiego czasu Dajola minister stracił bezrozumnie odmawianiem potrzebnych zasobów, zaręczonych uroczyście słowem byłego rządu.

Dziś wszelkie usiłowania wyteżają dla przyspieszenia formacyi legii polskiej; pótkownik Frappoli reprezentant rzeczypospolitej rzymskiej w Paryżu, dostał mandat reprezentowania nowego rządu Toskanii. Wysłano natychmiast oficera z legii z pięciu podoficerami, dla prowadzenia oddziałów polskich, posłano na ten cel znaczne summy.

Odbieramy listy z Piemontu. — Karol Albert raz jeszcze wystąpi na scenę. — Wojna z Austryą niezawodna. Oby Opatrzność raczyła dokonać cudu miłosierdzia, bo z ludźmi takimi jacy stoją na czele rządów Italii, pewność zwycięstwa nie zagrzewa duszy. Oprócz Józefa Mazziniego duszą i ciałem oddanego rewolucyi *nicosé*, przy najlepszych chęciach prawie powszechnych.

Może Bóg pozwoli pisać do drogiej pani z obozu. — Legia znów stoi we Florencyi — wrzawa wojenna — radość młodzieży pragnącej boju niepodobne do opisanja.

M. † † †

L I S T VII.

Rzym, dnia 3. lipca 1848.

tanęliśmy u kresu usiłowań naszych dla ojczyzny, jak podróżny wśród gór, co czarowni powaby przyrody nęcony, idzie coraz wyżej i wyżej, aż strudzonemu wysileniu okropna przepaść stanie przed oczy, i dalszy jego pochód zatrzyma.

Gdzie śpiewak, coby całe piekło tylu dokonanych zbrodni wypowiedział? coby oddał jęk tylu ludzi, odepchniętych od stóp krzyża tąż samą dłonią, która znak zbawienia i odkupienia na czele najświętszych naszych nadziei stawiała?

Niestety! raz jeszcze wróg prawdy, wróg Chrystusa zwyciężył! — na sumienie swoje wziął on wszystkie zbrodnie w imieniu Boga dokonane — w imie jego leje się krew dzieci Rzymu, na kampanii piasku, czerwonym od krwi leżą trupy bohaterskiej Lombardyi, ochotników; na ulicach Romy, na stopniach do świątyń krew świeża; przekleństwo i zgrzytanie zębów napęlnia po-

wietrze! Najukochańsze dzieci Romy, którym ojciec św. niedawno jeszcze błogosławił, bez czi i pogrzebu zamordowane przez Francuzów synów wolności świata, w imie wolności, w imie wiary! — Biada! biada!

Legia nasza po ucieczce W. księcia Toskanii, wróciła napowrót do Florencyi. Rząd tymczasowy złożony pod prezydencją Montenellego z ludzi uważanych za najwięcej liberalnych, stanął w obec miasta wstecznemu porządkowi sprzyjającego, zagrożony zaburzeniami wewnętrznymi i niepewny ducha wojska, rzeczypospolitej ogłosić nie śmiał, jakkolwiek publicznie losy swoje z losami rządu Mazziniego połączył. Poznali po czasie, że legia polska była jedyną siłą zbrojną, wierną duchowi Italii; głos był powszechny: *Gdybyśmy mieli przynajmniej kilka tysięcy Polaków, nie lękalibyśmy się zewnętrznych i wewnętrznych nieprzyjaciół.* Do koszar legii członkowie rządu często przychodzili; a na najmniejsze podobieństwo rzeczywistego zagrożenia ich bytu, przyjeżdżali do klasztoru *Anunziato* (gdzie legia mieszkała po powrocie z gór) z papierami, oświadczając, że Polakom jedynie ufają.

Jakoż rzeczywiście, jakkolwiek zamiarem legii polskiej było zawsze, trzymać się ściśle raz przyjętej zasady nie mieszania się w wojnę domową, — sama obecność Polaków we Florencyi utrzymywała przyjaciół wstecznego porządku w spokojności. Hamilton, który (jak już dawniej drogięj pani doniósłem) gorliwy przyjaciel legii w początkach jej tu przybycia, występował przeciw Polakom w notach dyplomatycznych do tymczasowego rządu — radził, a nawet grożąc polecał, aby legią napowrót posłano w góry. Wiedzieliśmy tegoż samego dnia o każdej nocy; niejedna z nich przekonała nas o intrygach

przeciwno legii knowanych. Józef Poniatowski i Walewski, Polacy (?) robili wszystko, co tylko złość i duma obrażona uczynić mogą. Legioniści, przed którymi ci panowie stawali jako przyjaciele, witali ich obojętnością, a na przymilania się odpowiadali wzgardą należną chytrości. Walewski wracał z Turynu, nie tań przed niektórymi z młodzieży, że był przyjacielem p. Zamojskiego Władysława, narzekał: *na nieporozumienia, które siłę narodową rozrywają*; przyrzekał oficerom protekcją (jako przyszły ambasador Francji we Florencji) *tym co się będą przyzwocić zachowywać*.

Młodzież nasza pełna poświęcenia się w duszy, zagrożona ogniem rewolucyjnych idei, które były zasadą i celem legii od jój zawiązania; nie tała swego zdania co do dzisiejszego porządku rzeczy, cieszyła się z uniesienia szlachetnego, które z Rzymu po całym pobiegło kraju; niekiedy widziano ich wśród tłumów ludu Florencji (które głośno żałowały W. księcia) przemawiających, najzwawsze rozmowy przecież o opinii nie dały nigdy powodu do nieporozumienia, wszystkie kończyły się zwykle okrzykiem: *niech żyją Polacy!* na co ci im odpowiadali: *niech żyje lud, niech żyje rzeczpospolita Rzymu!*

Jednego wieczora doniesiono rządowi, że kilkanaście tysięcy rolników uzbrojonych, z chorągwią W. księcia zebrało się o trzy mile włoskie od Florencji przed jednym z pałaców letnich Leopolda; że tam są przywiezione działa, które lud zabrawszy, pójdzie na miasta i rewolucjonistów wypędzi. Poptoch był okropny we Florencji. Legia w całym uzbrojeniu i gotowa do wymarszu, wystąpiła na plac przed koszarami. *Montenelli* i *Guerazzi* członkowie rządu i *Deloja* minister wojny,

przybiegli najpierwsi z tą wieścią, wielu z deputowanych rewolucjonistów przyszło za nimi. Lud zbierał się tłumnie na ulicach i placach. — Deloja, jak już powiedziałem, w duchu nieprzyjazny Polakom, zapytywał oficerów polskich o radę?

Dano radę następną, która natychmiast przyjętą była przez obecnych członków rządu i przez samego Deloję z radością:

„Minister wojny (w skutek polecenia rządu) da rozkaz generałowi, dowódcy siły zbrojnej Florentskiej, zamknięcia się z garnizonem we fortecy, którą arsenałem zwano. Legia polska przy pomocy gwardyi narodowej utrzyma służbę téj nocy. Polacy będą posyłać patrole swoje na wszystkie punkta miasta, zalecając w imie osobistego ich bezpieczeństwa mieszkańcom, aby rozchodzili się do domów. O północy kawiarnie wszystkie i inne miejsca publiczne miały być pozamykane i t. p.“

Zamknięcie wojska w fortecy było konieczne, bo na przypadek istotnego niebezpieczeństwa, któreby groziło nowemu porządkowi rzeczy, wojsko niezawodnie stanęłoby na stronie reakcyi, rząd tymczasowy jedynie regularnością wypłaty żołdu utrzymywał je przy obowiązku; wojsko istotnie żadnych opinii politycznych nie miało, ale szło im o pozycyą, której nowy rząd trwale w ich przekonaniu zapewnić im nie mógł: a do tego bali się austriacy. wojska, które we 24,000 weszło do Romanii i na saméj granicy tokańskiej stanęło. Zamknięcie się wojska w fortecy każdy sobie mógł tłómaczyć podług upodobania; legionistom chodziło jedynie o to, aby się nie spotykać w służbie nadzwyczajnie delikatnej z ludźmi niepewnego ducha; legia sama tylko robiąc służbę nocną, nie bała się rozdwojenia ducha, dążności prze-

ciwnój jój symbolowi. W najgorszym razie nie trudno sobie radzić z pewną siłą, jeżeli się czyni przeciwko znajomemu nieprzyjacielowi, ale w towarzyszach broni czując nieprzyjaciół, los legii zależałby od tego, jak sobie całe wojsko postąpi. Wyszedszy raz na ulice miasta, musieliby Polacy przy akcyi stanąć na jednej stronie otwarcie, czego właśnie legia uczynić nie mogła — jedynie nie wdając się w wojnę domową, pozycya legii była prawdziwą. Oświadczyli przeto ministrowi, że jeżeli wojsko nie zamknie się na fortecy, służby nocnej pełnić z niém razem nie będą.

Noc przeszła najspokojniej, o świcie stu dwudziestu Polaków pod dowództwem kapitana Hanke poszło na miejsce, gdzie się wczoraj lud miał gromadzić i gdzie miały być przywiezione działa — w pałacu i w całej okolicy głucho panowało milczenie. Kompanii polskiej, która tam przez trzy godzin została, mieszkańcy wsi przyległej przynosili z własnego natchnienia wino i chleb. Zebrało się kilkaset ludzi, wracających Polaków do miasta witali okrzykiem: *Niech żyje Leopold, niech żyją Polacy!* na co im odpowiedzieli Polacy: *Niech żyją Włochy całe, wolne i zgodne!*

Tymczasem w Turynie gotowała się wojna z Austryą, posyłano i odbierano codziennie noty dyplomatyczne od Austryi, Anglii, Francyi. Jak stado kruków nad pobojuwiskiem, czujących już krew ciepłą, która się niedługo obficie poleje, widziano tłumy agentów dyplomatycznych pędzących w różne strony lądem i morzem. Rząd rzeczypospolitej francuzkiej publicznie oświadczał nieprzyjaźń swoją dla nowego porządku rzeczy w Rzymie. Zaledwie głos nieśmiały kilku ludzi, jedynie dla zaspokojenia opinii swych jednowierców, w izbie repre-

zentantów Francyi przemawiał przyjaźnie dla Mazziniego, dla nadziei Włoch.

Dla czego Karol Albert przyjął nową wojnę z Austryą? czyli sumiennie chciał wszystkich sił swoich użyć przeciwko nieprzyjacielowi, który mu groził i warunki pokoju dłuższego nowemi codziennymi pretensjami utrudniał? — rozwiązanie głębokie, sumienne tych pytań, należy do przyszłości. Śmierć jedynie nieszczęśliwego wojownika tłómaczy go wiele; nie godzi się przecież szukać jedynie przyczyny nieszczęść naszych (jak to czyni wielu Polaków, świadków téj wojny) w nieusposobieniu moralném ogólném Włochów do wojny. Ocenienie planów Chrzanowskiego w nieszczęśliwej téj wojnie, a raczej najhambniejszej klęsce, która rzeź tylu miast wywołała, zatrudniła już wielu i wam to nieobce. Dla nas Polaków, którzyśmy tu szukali sposobów służenia korzystnie ojczyźnie, zostanie do grobu obecna pamięć narzekań i łez na Polaka, dowódcę siły zbrojnej Karola Alberta. Śmierć Ramoryny nie usprawiedliwiała najmniej planów generała Chrzanowskiego, ani co do stanowiska, jakie dał temuż Ramorynie z wojskiem złożoném z ochotników jedynie, ani pokazała biegłości strategika rozciągającego wojsko całe w długiej linii bez silnych rezerw na przypadek odwrotu — a jeżeli nie chciał bronić Turynu, czemuż potrafi usprawiedliwić rozpacz swoją, która go zatrzymała na miejscu, wówczas kiedy po przebicciu linii Romaryna, (którą powinien był przewidzieć) która nie dozwoliła mu ruszyć naprzód, — drogi miał otwarte; gdyby był wszedł do Medyolanu, byłby zbawił Włochy i Polskę; ale krok ten był oceniony za szalony, za *nieprzyzwoity*. Za rozsądne i przyzwoitsze szanowny generał osądził podpisywanie z Radeckim haniebnego przymierza

— wydanie Alexandryi i niepodległości Włoch w ręce Austryi.

Ktokolwiek duszę masz polską, przypomnij sobie wrażenie, z jakim czytałeś imię Chrzanowskiego na téj okropnej konwencyi; każda kropla krwi polskiej krzepła ci w piersiach. A jakże opisać ci droga pani rozpacz naszą, kiedy przyjaciele rzeczywisci Polski przybiegali do nas, i wołali głosem rozpacz: *Do zguby naszej rodak się wasz przyczynił. — Najpotężniejszą pozycyą militarną Włoch Alexandryą, w ręce Austryaków bez wystrzału wydał.*

Pomimo okropnej klęski pod Nowarą, rzeczpospolita Rzymu przez posłannika swojego w Paryżu, pułkownika Frappoli, głosiła Europie ślub wytrwałości do końca. Przyjaciele prawdziwi wolności już byli na wygnaniu: *Barbes, Louis Blanc, Ledru Rollin, Cossidière*, wraz z towarzyszami niedoli swojej wołali z Londynu przez proklamacyą, aby lud, zwycięzca lutego, wstawał znowu i zbrojno gwałtowi dokonywanemu na Włochach zaprzeczył! — Napróżno! jak prąd szalony lecącego z gór strumienia, co przed chwilą wszystkie zniszczył zapory i drogę torował ku przeznaczeniu swemu, łamiąc w swym pędzie wszystkie wsteczne mu siły, aż sam bez wiedzy o sobie zginie w przepaści; tak prąd wielkiego ludu gdzieś zaginął! Duch rewolucyi, przewodnik mas poświęconych natchnieniem największém czynu, odstąpił Francyi! w Paryżu żałowano nieszczęsnych Włoch czu-
ciem macochy, sercem opiekuna z łaski.

Dwa nowe oddziały legionistów (razem 82) przypłynęły do Livorno, zkąd się udały do Florencyi. Trzeci oddział pod dowództwem Alex. Fijałkowskiego, ze stu ludzi złożony i wyprawiony z Marsylii już po klęsce

Novary, posłyszawszy huk dział, wylądował do *Genui* przemocą, to jest, pomimo nalegań kapitana okrętu, aby zostali; pomimo gróźb, że fregata angielska stojąca o kilka staj, sprzeciwi się wylądowaniu; Polacy rzucili się na łodzie (które jak zawsze przyplływają do przybyłego okrętu dla przewożenia podróżnych) i wśród okrzyków witającego ich ludu weszli do *Genui*. Piećdziesięciu z nich z Fijałkowskim w barykadzie najbliższej portu pozostało, inni rozsypali się po mieście całém, zajmując punkta najniebezpieczniejsze. Czyli Polacy dobrze zrobili, idąc wbrew symbolowi legii w *Genui*, broniąc barykad włoskich przeciwko Włochom? trudno na zimno odpowiedzieć. Powiem to tylko, że Fijałkowski miał rozkaz Mickiewicza, zaprowadzenia oddziału do Florencyi, że przypuściwszy nawet, gdyby rewolucya *Genui* mogła być przewidzianą, nigdyby legia popierać jej nie dostała polecenia; ale sądzić zapał młodzieży polskiej mają prawo ci tylko Polacy obecni téj wojnie; którzy w służbie włoskiej szukali jedynie sposobu służenia ojczyźnie. *Amatorom wojny* — Polakom, jakich było nie mało w wojsku piemontském i jakich kilku spotkało się z ochotnikami naszymi w *Genui* jako nieprzyjaciele, sądzić krok ich zapału nie godzi się; słów tylko parę powiemy na ich obronę.

Po klęsce pod Nowarą, po konwencji z Radeckim, podpisanéj przez generała Chrzanowskiego, nowym czynem pełnym poświęcenia się dla sprawy wolności Włoch mogli jedynie Polacy zażaloną tak słusznie opinią publiczną przeciwko Polakowi uspokoić. Ale raz jeszcze powtórzę, że wylądowanie ich do *Genui* nie było przewidziane przez nikogo — było polityczne jak tylko co powiedziałem, było nadewszystko moralne, bo tym sa-

mym powodowane duchem, jaki rzuca ludzi serca prawdziwych chrześcian, w niebezpieczeństwo największe w obronie bliźniego.

Lud Genui bohaterskiej silnym kolumnom królewskiego wojska oprzeć się nie mógł, po dwóch dniach walki twierdze i miasto zdobyto; Polacy nie dorachowali się trzech towarzyszy poległych obok kilkuset Włochów; krew ich za swobody Italii przelana, stoi przed Bogiem; nie wachamy się wołać z ludem Genui i Rzymu: *Cześć ich pamięci!*

Po wejściu wojska do miasta, legionie nasi na okręcie genueńskim, który im lud przygotował, odpłynęli do Livorno — w Livorno wiedział już lud z kąd wracali, przyjął Polaków z oznakami najwyższej radości i w tryumfie do Florencyi odprowadził.

We Florencyi ośmielona reakcja ostatnią klęską sprawy ludowej, coraz śmieliej występowała, oczekiwano lada dzień wkroczenia wojska austriackiego do Livorno. Znalazła się większość w izbie wotująca za wystąpieniem do W. księcia deputacyi błagającej *w imieniu narodu*, ażeby do miasta wrócił. Drzewa wolności zasadzone na rynkach Florencyi, zapłaceni siepacze przez ambasadora Anglii, ścinali wśród białego dnia. Nosili posąg Leopolda po miejscach publicznych i z nożem w rękę do całowania go przymuszali.

Wyprawa Francuzów na Rzym była już głośną. Położenie legii polskiej we Florencyi co godzina było okropniejsze. Rząd zapytany przez Polaków urzędowo: *czy na przypadek przejścia Austryaków przez granice, będzie się bronił?* otwarcie odpowiedzieć nie chciał. Istotni przyjaciele Polaków radzili im iść do Rzymu. I rzeczywiście nie było innego sposobu; Guerrazzi i De-

loja mówili Polakom o trudności swojego położenia, zostawiali samym Polakom radzenie o sobie w tak trudnym położeniu. Ambasador Francyi oświadczył się, że dla wracających Polaków ma upoważnienie wydawać paszporta, że opłatę kosztów podróży do Marsyli bierze na siebie. Minister wojny udającym się za radą posła Francyi, polecił wypłacić żołd za miesiąc z góry i dy-misye urzędowe wydawać.

Wszyscy prawie starsi wzdrygali się na samą myśl spotkania się jako nieprzyjaciele z Francuzami. Jakkolwiek wyprawa ich do Rzymu, była zaprzeczeniem całej rewolucyjnej, ludowej ich przeszłości, rozerwać braterstwo związane na polu tylu bitew, wyrzec się głosu sumienia, który przemawiał za nieszczęsném wojskiem rzeczypospolitej, idącém na Rzym bez woli, z rozpaczą w duszy; które nie mogło się oprzeć rozkazowi bez zdobycia z siebie jednego głosu: nie pójdę! bez cudu, który sam Bóg jedynie uczynić mocen.

Nie było innego sposobu pogodzenia sprzecznych sobie pojęć, jak zostawienie woli każdego czynienia tego co mu rozkaże sumienie. Trzy części młodzieży przyjęło otwarcie sprawę Rzymu za swoją, w obec jakiegobądź nieprzyjaciela. Już pierwsze kolumny przednich straży wojska francuzkiego stały na obrębach przed Civita-Vechia; nie było więc czasu do stracenia, drogę do Rzymu, jaka przód była przez Bolonią, mogli Austriacy lada dzień zająć, postanowiono jak najrychlej wyruszyć z Florencyi. Pomimo jednakże zdań i usposobień różnych nieprzyszło do gwałtownych nieporozumień.

Stary pułkownik Siodłkowicz usunął się od wszystkiego już od dawna, widząc złą wiarę ministra De-loja, który odpowiedniej godności jego zasłudze przy-

znać nie chciał. Mianowany komendantem Prado po ucieczce W. księcia, przez tenże sam rząd po klęsce pod Novara odwołany został. Nam starszym, którzyśmy tyle lat przeżyli z Francuzami, nie łatwo było przyjąć zapał młodzieży najszlachetniejszym poświęceniem się gorejącej, ale w uniesieniu swém niecierpiącej koniecznego wędzidła. Okrzykiem wojny pełnej zemsty odpowiadali na przedstawienia nasze, aby przyjąć chcieli konieczny porządek organizacyi stosownej do położenia swojego, zostawując ich wyborowi człowieka, któremuby w tak krytycznym położeniu zaufali. — Chorągiew rzymską legii, którą Mickiewicz przyniósł do Medyolanu, powierzono Siodolkowiczowi dla przesłania jęj przewodnikowi naczelnemu. — Legia rzeczywiście była rozwiązana, pozostał z tylu wysileń oddział wojskowy ze 300 najdzielniejszych obrońców wolności, jednak z rozpaczą w duszy umrzeć lub zwyciężyć. Biada temu, kto ogień ten chciałby przytłumiać, iskry jego należą do przedwiecznego zarzewia wszechwórczej miłości!

Fijałkowskiego obrali sobie za dowódcę i weszli do Rzymu na dziesięć dni przed wylądowaniem Francuzów do Civita-Vechia. Kilku z nas przyszliśmy tu za nimi. Położenie ich w obec Franzuzów sam tylko zapalał ich młodzieńczy ubierał w piękne kolory przyszłości; stargana nieszczęściem dusza nasza przeczuwała ich, i nas wszystkich niedolę.

Nie będę opisywał drogięj pani wojny z Francuzami, w której bracia nasi czynny mieli udział; od pierwszego ataku aż do końca stali w reducie najniebezpieczniejszej przedmieścia Pamfili. Opis téj haniebnéj wojny, a raczój napaści na niewinnego, rozlega się po wszystkich pismach publicznych. Szczegóły nieszczęścia,

jakie spadło na bohaterski Rzym wiadome już ludziom; historia bezstronna przybiera dowody zbrodni rządów i ludzi dla nauki pokoleń. Dla nas Polaków, którzyśmy tu byli, zostanie na zawsze drogie wspomnienie trudów i usiłowań naszych. Zostało to przekonanie sumienne, że na włoskiej ziemi pole jest najpierwszej formacyi narodowych legionów. Tu, obok pamięci klęsk najokropniejszych, obok zaprzysiężonej wieczystej nienawiści dla Austrii leży święta i nieskalana pamięć usiłowań Mickiewicza dla podźwignienia legii polskiej podjętych. Jemu daj Boże samemu, albo następcom jego pozostała droga świetna i łatwa.

W wojnach z Napoleonem zostawili Polacy na włoskiej ziemi pamięć dzielnych żołnierzy. Udział legii naszej do téj pamięci dodał gruntowne przekonanie: że Polacy mają głęboką wiedzę przeznaczenia swojego *jako żołnierze, przyjaciele swobód ludowych, szukających własnej niepodległości wszędzie tam, gdzie się o wolność i niepodległość dobijają ludy*. Pobratymstwo Włoch i Polski nierozdzielne na wieki. Polak we wszystkich dziś językach znany w sensie moralnym: nieprzyjaciela wstecznego porządku — człowieka ludowej rewolucyi.

Przy zdobyciu Rzymu czterech tylko zginęło Polaków, i dwóch ciężko rannych pielęgnowanych starannie w domach prywatnych.

Imiona kilku, którzy się szczególnie odznaczyli, wiadome wszystkim przez pisma publiczne.

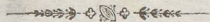
Na kilka dni przed ostatnim szturmem Izelszmid, przybyły z jenerałem Chrzanowskim do Rzymu, objął dowództwo nad Polakami i po zajęciu Rzymu 2. lipca odjechał z nimi do Aten.

Jaki ich los? tenże sam co nas wszystkich, w pracy i nędzy oczekiwanie lepszój chwili.

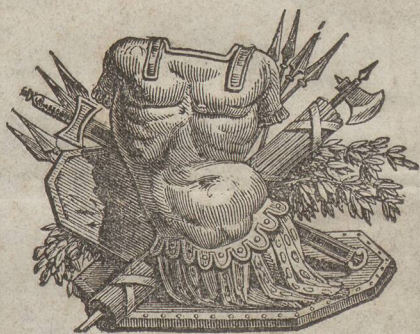
Tym, co nie należeli do obrony Rzymu, ambasador francuzki wydaje paszporta, ja do nich należę, i niedługo odjadę. Nie łatwo przecież oderwać się od miasta tego napelnionego żałobą; gdzie dwie nieprzyjazne od wieków siły przyszłości i przeszłości, tak się okropnie starły. Stoję nad świętymi ruinami miasta, na których widzę rdzę krwi braci moich, jak nad zamkniętym świeżo grobem przyjaciela i marzę o zmartwychwstaniu.

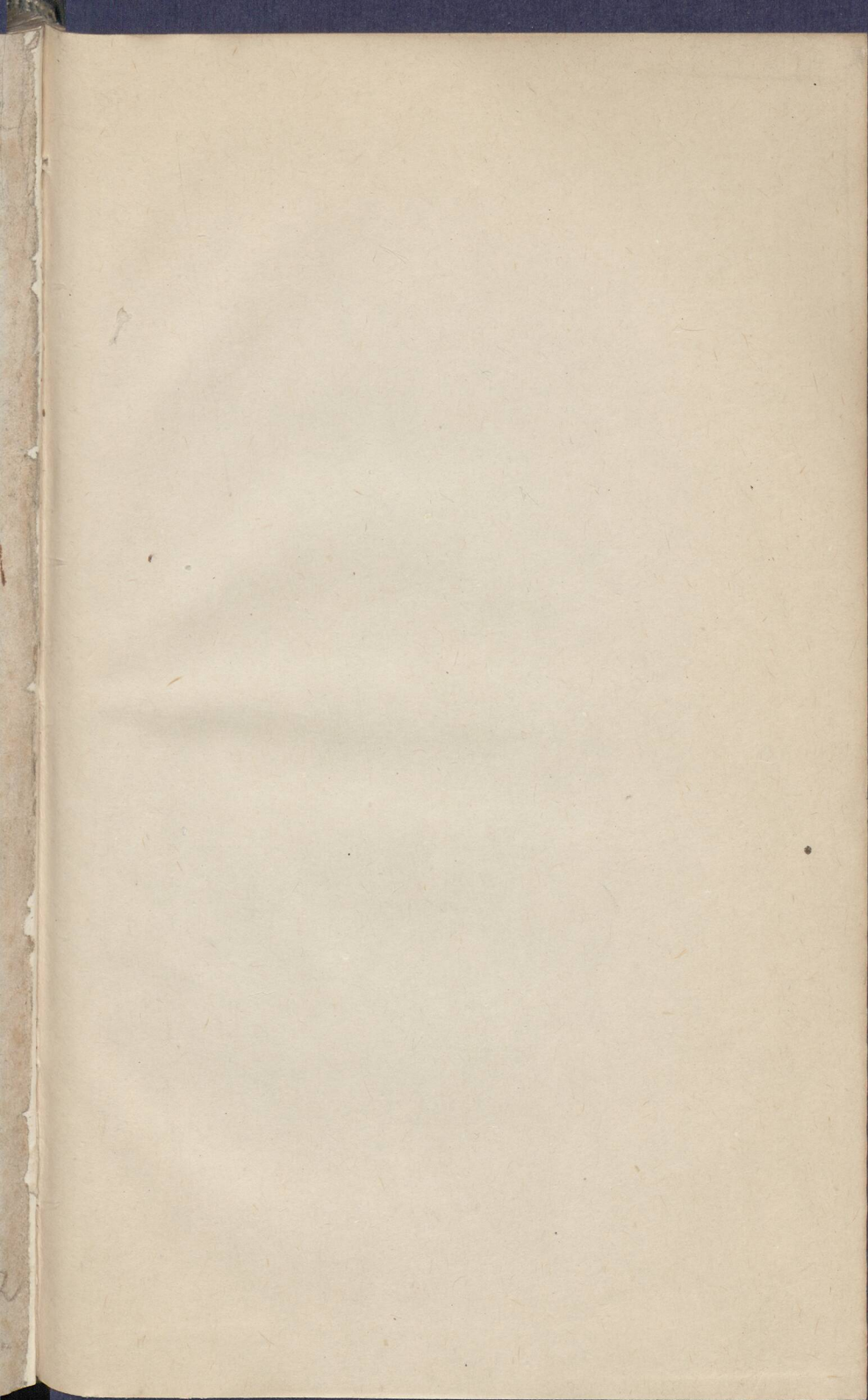


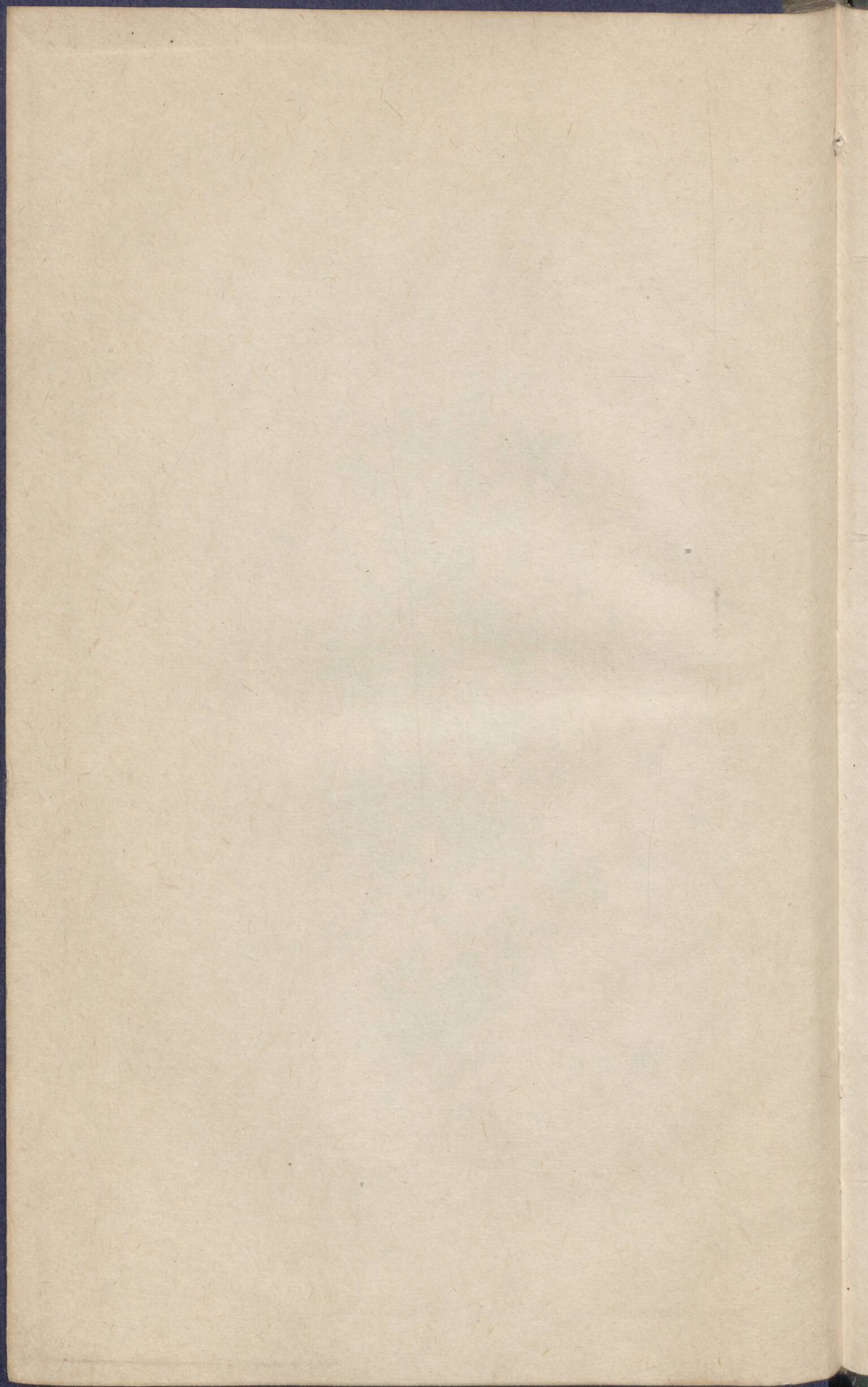
M + + +

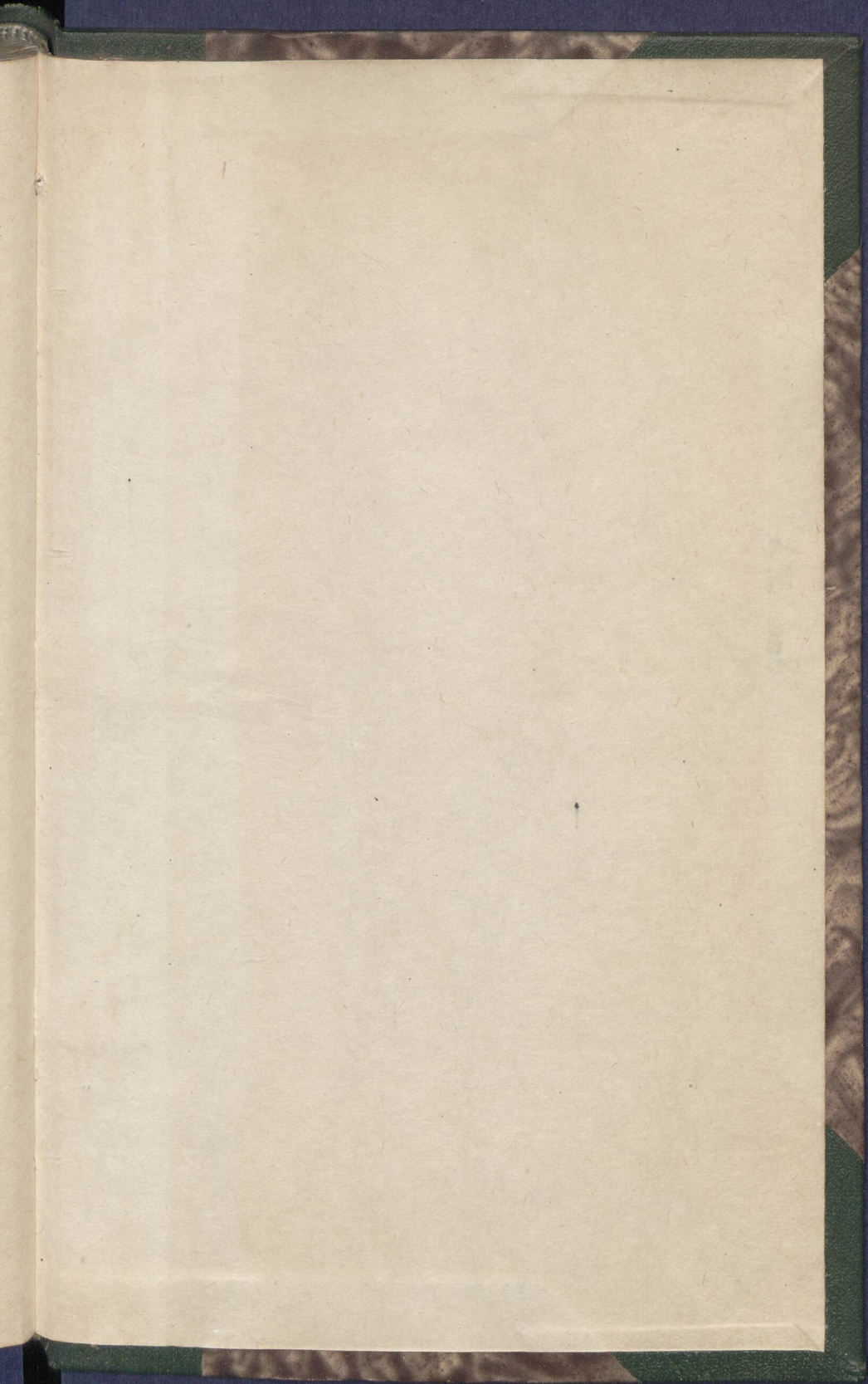












BIBLIOTEKA GŁÓWNA
UNIWERSYTETU A.M. w POZNANIU



233905

Wypożycza się
tylko do czytelní